Rok II. Kraków, dnia 5 Września 1883 r. Nr. 16 i 17.

PRZEGLĄD
LITERACKI I ARTYSTYCZNY

pismo poświęcone literaturze, sztuce i sprawom społecznym.

PRENUMERATA.
W **Krakowie**: *rocznie 6 złr., półrocznie 3 złr., kwartalnie 1 złr. 50 ct.*
Z **przesyłką w Austryi**: *rocznie 6 złr. 50 ct., półrocznie 3 złr. 25 ct., kwartalnie 1 złr. 63 ct.*
W **Wielkopolsce**: *z przesyłką rocznie 12 Mrk., półrocznie 6 Mrk., kwartalnie 3 Mrk.*

Główny współpracownik **K. Bartoszewicz.**
Wydawca i redaktor odpowiedzialny **Jan Blaschke.**
Adres Redakcji i administracji:
K. Bartoszewicz w Krakowie
Rynek, Hotel Drezdeński.

Przegląd wychodzi każdego 5go i 20 dnia miesiąca i obejmuje półtora arkusza druku z dodatkiem rysunku lub autografu.
Rękopisma nie zwracają się.
Inseraty po 10 ct. od wiersza petitowego, następne po 5 ct.
Cena pojedynczego numeru 30 cnt.

Cieniom Króla-Bohatera.

Na pamiątkę 200-letniej rocznicy zwycięztwa pod Wiedniem

napisał

EDMUND ROSSOWSKI.

FRAGMENT I.

...Fuimus Troes — fuit Ilium et ingens
gloria Teucrorum...

O bracia! dziś nam wielkie święcić dzieło,
Którego blask największe zaćmił czyny...
Dziś dwieście lat od chwili przeminęło,
Gdy król nasz Jan pod Wiedniem brał wawrzyny...
Gdy chwiał się krzyż przed czernią pół miljona,
Swiat cały drżał i drżała — Vindobona!..

Zapłonął wschód — wojenne wzniósł sztandary —
I horda w świat przemknęła rozpasana..!
W odwiecznych świat posadach wstrząsł się stary —
Wiedeń i Rzym — upadły na kolana!..
Utkwiły wzrok w północnej świata stronie,
Do Polski ziem błagalne wznosząc dłonie.

W niej rządził król — odważny i zwycięski,
Którego miecz zdobiły liczne szczerby;
Sześć razy nim Tatarom zadał klęski
Pogańskie łby — w szlacheckie znacząc herby...
A groźną moc ramienia królewskiego
Znał Moskal, Szwed i bandy Rakoczego...

Więc w trwogi dniu posłowie doń przybyli
Przynosząc wieść, że wschód się krwią rumieni;
„Gdy Twoja dłoń nie zbawi nas w tej chwili
Nawała hord w ruinę świat zamieni;
Upadku dzień z pośpiechem już się zbliża:
Księżyca znak — wnet zajmie miejsce krzyża!..

„O pomoc Twą błagamy — na kolanach!
Nie odmów nam opieki i ramienia...
Niech pomści krzywd dłoń Twa na Muzułmanach
I stanie się — sztandarem ocalenia!..
Tam łzy i krew — strach blady mknie przed nami,
A ziemia drży — pod hordy kopytami!“

Wstał z tronu król i posłom dał odprawę:
„Przyrzekam wam — posłowie — w obec Boga,
Że zginę wpierw, lub wieczną zyskam sławę,
A wydrę krzyż z pod krwawej stopy wroga...
Bo wzniosła myśl jest życia mego celem:
Niewinnej krwi być zbawcą i mścicielem!

„Niech światłu wschód nie będzie już zaporą!
Za pomoc mą — królewskiem ręczę słowem;

KRONIKA.

Nareszcie zasługi moje otrzymały nagrodę: zostałem prezesem.

Obecnie piszący do mnie listy winni adresować: «Panu K. B., kronikarzowi Przeglądu i prezesowi sekcji wydelegowanej przez komissję wycieczkową głównego komitetu zjazdu literatów i artystów, w celu wydania opinji o zaletach barszczu Kiełczykowskiego.»

A wiecie co to jest barszcz Kiełczykowskiego? jestto, jak powiadają znawcy, smaczny specjał, ktorego jak świat długi i szeroki nigdzie nie znajdzie, procz w Krakowie. Specyał ten sporządzony umyślnie na cześć literatów i artystów zajmie godne siebie stanowisko w programie ich wycieczki, zkąd nastepnie ma się przenieść do zgłodniałych żoładków dzieci Apollina, Orfeusza i innych bóstw dymissjonowanych.

Jednocześnie z moją nominacją na prezesa otrzymało tę godność 112-stu obywateli miasta Krakowa. Pan A. został prezesem sekcji książeczek balowych, pan B. prezesem komissji wydelegowanej do utrzymania porządku między stołami podczas uroczystości ludowej, pan C. prezesem komissji nalewającej piwo przy tejże uroczystości, pan D. prezesem komisji mającej wręczyć bukiet pannie Józefinie Reszkównej, pan E. prezesem komitetu herbacianego w kole artystyczno-literackiem, pan E. prezesem jury oceniającej wdzięki kwiatów wiejskich, mających złożyć się w piękny bukiet dziewiczy w pochodzie wyżynkowym itd. itd. Oprócz prezesostwa barszczowego podpisany ma zaszczyt być członkiem wymienionej na ostatku komissji, oraz sekretarzem dwóch wielkich komitetów i trzynastu sekcyj, a mianowicie: balowej, kiełbasianej, sekcji gadania, pamiątkowej, szampańskiej, biletowej, kokardkowej, afiszowej, galarowej, ogni sztucznych, lampionowej, fiakierskiej i dychów cielęcych.

Tyle zaszczytów na raz jeden wystarcza nietylko do zupełnego szczęścia, ale i do opóźnienia się.... Przeglądu. Trudno myśleć o pisaniu i redagowaniu, kiedy tyle missyj publicznych spoczywa na głowie, wzroku, węchu i smaku jednego tylko współpracownika Przeglądu. Łatwiej to daleko być panem Pawłem Popielem i od czasu do czasu napisać takie orędzie do narodu, jak ostatni list otwarty tej ekscellencji do prezydenta miasta. Przypuszczając, iż nie wszyscy mieli sposobność napawać ducha jego treścią, podaję go w skróceniu:

Otóż tak pisał pan Paweł ekscellencja Popiel do pana prezydenta:

«Jaśnie Wielmożny Panie Prezydencie!
«Hołota chce urządzić uroczystość ludową,
«Panie Prezydencie. Ja się na to nie zga-
«dzam, panie Prezydencie. Wydaje mi się
«to obniżeniem obchodu, panie Prezydencie.
«O tem mojem zdaniu, a każde moje zda-
«nie to ewangielja, zawiadom jeśli zechcesz
«Radę miasta panie Prezydencie. Kłaniam
«ci się panie Prezydencie. *Paweł Popiel.*»

Na to podobno pan prezydent Weigel miał odpisać:

Chcę pomścić śmierć Żółkiewskich pod Cecorą
I brata śmierć męczeńską pod Batowem...
Odwetu myśl mą duszę wciąż przenika —
Za króla wstyd *) — za kaftan hołdownika!..

Po słowach tych do posłów wyrzeczonych,
Wnet głuchy szmer się rozszedł w obrad sali;
Potęgą słów płomiennych i natchnionych
Roznieca żar — odwaga pierś zapali...
Rycerski duch uśpione budzi męstwo —
A Bóg i Pan da sławę i zwycięstwo!..

FRAGMENT II.

Exegi monumentum aere perennius
Hor.

Któż nie zna z nas przebiegu tej wyprawy,
Gdzie polskiej krwi polały się strumienie,
Gdzie naród nasz pozyskał wieńce sławy
I zbawił świat przez własne poświęcenie...
Gdzie sławy blask potężnej gwiazdy wschodu
U groźnych stóp polskiego zgasł narodu?..

Historja już na kartach zapisała
Zwycięski czyn i do niej sąd należy;
W spuściźnie nam pamiątka pozostała
Jak mężnym ród lechickich był rycerzy —
Bo w sercach ich tkwił ojców zwyczaj stary,
Jak Boga czcić i bronić świętej wiary...

W obronie jej sam nie szczędził siebie,
Bo walczyć zwykł wśród muzyki armatniej...
I własną pierś nadstawiał rad w potrzebie —
W boj pierwszy szedł, a wracał zeń ostatni...
Nie zdradą, lecz odwagą zwalczał wroga
I bronił krzywd ojczyzny swej i — Boga!..

On życie swe ludzkości niósł w ofierze —
A w duszy czcił ojczyste ideały.
Jak rycerz żył i umarł jak rycerze —
I z własnych dzieł wzniósł pomnik okazały...
Trwalszy niż spiż, marmury i granity —
Przez zmianę, czas i klęski niespożyty!..

*) Po podpisaniu traktatu w Buczaczu przywiózł czausz turecki królowi Michałowi od sułtana honorowy kaftan lennika, zastał jednak króla na katafalku, który zmarł w wilję dnia, w którym Sobieski odniósł zwycięztwo nad Turkami pod Chocimem.

I stał się cud! Potęga hord złamana...
Królewski miecz rozpędził ciemne chmury...
Potężny dzwon uderzył z wież Szczepana,
A w górze krzyż zajaśniał po raz wtóry...
I ludom znów szczęśliwsza błysła era,
Stworzona przez polskiego bohatera!..

I hardy chan, co świata chciał kształt zmienić
Śmiertelny cios z karzącej poniósł dłoni —
I musiał krwią Dunaju brzeg zrumienić
I krocie wojsk utopić w zdradnej toni...
Tak padło w proch księżyca panowani e
I z prochu się już podnieść nie jest w stanie...

U Wiednia bram witano z uniesieniem
Polskiego „Lwa" i wojsko i hetmanów —
Bo własnem snać Bóg wspierał go ramieniem,
By wydarł krzyż z pod stopy bisurmanów...
Jak zbawcę z czcią go Niemcy powitali
I szaty kraj królewskiej całowali...
. . . .
Dziś dwieście lat od chwili tej minęło,
Gdy groźny wschód siał postrach i zniszczenie.
Przeminął czas... ofiary wielkiej dzieło
Pobladło już i poszło — w zapomnienie...
A mężny król, co jaśniał w sławy słońcu,
Nie znany dziś — na szarym stoi końcu...

FRAGMENT III.

Non omnis moriar...
Exoriare aliquis nostris ex ossibus ultor...
Verg.

W górę serca — w górę czoła!
Pochyloną wznieśmy głowę —
Dzwon Zygmunta na nas woła,
Bo dziś święto narodowe!..

Niechaj radość gości szczera —
Dziś minęło dwieście lat,
Jak dłoń króla — bohatera
Wybawiła z nieszczęść świat!..

Dzień to wielki i wspaniały,
Więc rocznicę święćmy bitwy,
Co okryła wieńcem chwały
Orła Polski — Pogoń Litwy...

Sława nasza nie zagasła
I w przyszłości wyda plon —
Prawd dziejowych głosi hasła
Na Wawelu stary dzwon.

«Dzień dobry jaśnie wielmożna ekscellencjo! Uroczystość ludowa odbędzie się «ekscellencjo. Wydaje mi się ona podniesie«niem obchodu, ekscellencjo. Rady miasta «o Twojem zdaniu nie zawjadomię, jaśnie «wielmożna ekscellencjo, bo ją to mało «obchodzi co myślisz ekscellencjo. Padam «do nóg ekscellencjo. *Ferdynand Weigel.*»

Swoją drogą pan Paweł Popiel ma rację. Spraszać chamów, dawać im jeść, gadać do nich i pospolitować się z nimi, nie wypada dobrze urodzonym. Cały ten obchód ludowy wymyśliła demagogja, zarażona socyalizmem, nihilizmem, antisemityzmem i antipopielizmem. Ogłosiła ona program na oko bardzo niewinny, ale kto czerpie mądrość z Ruszczy, umie wyczytać właściwą treść programu. Zbadawszy tę sprawę dokładnie, wyłuszczę pokrótce jaki jest tajny program komitetu.

Każdy z delegatów włościańskich (a będzie ich po 30stu z jednej gminy, nie zaś po trzech z powiatu) przybędzie do Krakowa z dwoma siekierami, cepami i z jedną kosą. Dnia 11 Września — mówi program — o godz. 1szej zbiorą się delegaci w rondlu bramy florjańskiej i wyruszą na Wawel, gdzie złożą wieńce na grobowcu króla Jana. Nawet bardzo mało domyślny pojmie, że Wawel oznacza tylko kierunek drogi i że celem pochodu będzie właściwie Kazimierz. «Złożą wieńce» jestto figura retoryczna, oznaczająca w tym razie wytępienie żydów kazimierskich i ułożenie ich ciał «wieńcem» na miejscu zasypanej starej Wisły. Od rzezi wyłączone zostaną tylko ładne i młode żydówki, których opieką zajmą się członkowie komitetu.

O g. 3iej wyruszy z placu pp. Wizytek drugi pochód włościan (ściśle podług programu). Postępować on będzie ulicami Florjańską, Rynkiem, Szewską i Wolską na Błonia. Jak pierwszy pochód prowadzony był przez antisemitów, tak drugi wyruszy pod wodzą socjalistów. Droga będzie znaczona pożogą i rabunkiem. Podczas kiedy główny oddział rozbije kassy banku hipotecznego, dwa poboczne zdobędą szturmem Bank galicyjski i Towarzystwo Zaliczkowe. Pożar Sukiennic da hasło do wyruszenia wszystkich oddziałów na Błonia.

Na błoniach nastąpi podział zdobyczy, co w odezwie komitetu nazywa się «rozdaniem podarków i pamiątek.» O godz. 6tej nastąpi powrót do miasta,

Punkt o 7-mej wyleci w powietrze cała ulica św. Jana, a na gruzach domu pana Pawła Popiela zatkniętą będzie czerwona chorągiew z napisem: śmierć potomkom królewskiego rodu. W księgarni K. Bartoszewicza rozdawane będą broszury opisujące dzieje uroczystości, a redaktorzy Reformy ze szczytu wieży marjackiej przemówią do narodu.

O g. 8mej odbędzie się, jak mówi program, «uczta» w ogrodzie ojców Karmelitów, Opuszczono przymiotnik «krwawa.» Co do tej chwili nie zginęło, zginie niezawodnie. Pierwszą ofiarą padnie ta doborowa (jak Czas pisze) publiczność, która zgromadziła się na nabożeństwie za duszę Henryka V-go. Zamówione ad hoc trzęsienie

Więc choć wrogi dziś zuchwale
„De profundis“ głoszą lament...
Naprzód wiedzie nas wytrwale
Polityczny nasz testament...

Przyjdzie chwila odrodzenia —
W niej się nasze spełnią sny,
Bóg udzieli przebaczenia
I piekące otrze łzy...

Królu Janie! To Twe dzieci
Z wszystkich dzielnic Polski żyznej,
Co przez długi ciąg stuleci
Wciąż broniły swej ojczyzny...

Więc za dziećmi, królu, Twemi
Ty u Boga sam się wstaw,
Aby mogły na swej ziemi
Znów używać dawnych praw!..

Z Twojej — królu — dziś mogiły
Duch narodu się odsłania,
By ożywczej dodać siły
I zachęcić do wytrwania!..

Jak szeroko Polska słynie
Dzień ten trzeba święcić nam
Bo po wieki nie zaginie,
Coś zbudował sobie sam!..

A więc bracia! w górę czoła!
Pochyloną wznieśmy głowę —
Dzwon Zygmunta na nas woła,
Bo dziś święto narodowe..

Z wszystkich modły brzmią kościołów,
Król nad Polską trzyma straż...
Z kości jego i popiołów
Wstanie kiedyś — mściciel nasz!..

Zwiniacz we Wrześniu 1883.

BABA.

NOWELLA *J. Blizińskiego.*

Każdy z nas miał w życiu swojem chwile, których pamięć wśród chaosu wspomnień obojętnej natury trwa ciągle i przetrwa w całej swojej żywości do grobowej deski.

Często bywa to zdarzenie zupełnie obojętne, nieinteresujące nas wcale, i nie mające żadnego wpływu na wypadki naszego życia, a przecież wbiwszy się w pamięć, przypomina się niemal dokuczliwie.

Spotkało mnie coś podobnego przed kilkunastu laty. Wyjeżdżając z Warszawy do domu, byłem na dworcu kolei przez bardzo krótką chwilę prostym widzem jednej z tych najzwyczajniejszych w świecie scen, odgrywających się tamże codziennie przy odprowadzaniu osób odjeżdżających, a której pomimo to nie zapomnę nigdy.

Lubię wygodę i spokój; nie mogę cierpieć gorączkowego pośpiechu w żadnej czynności, więc swoim zwyczajem przybyłem wcześnie na dworzec. Oddawszy upatrzonemu posługaczowi rzeczy do wagi, zostawiwszy mu pieniądze na kupno biletu drugiej klasy i poleciwszy, aby mi wyniósł do wagonu podręczny mantelzaczek, nie obawiając się już niczego coby mi mogło zakłócić spokój przy wsiadaniu, oddałem się swoim zwyczajem obserwacjom, na które miałem dobre pół godziny czasu. Robię to z upodobaniem, bo tak fizjognomje podróżnych i osób odprowadzających ich, jak epizody rozmaite wynikające z pośpiechu, nierozgarnięcia, żalu przy pożegnaniu itp. przedstawiają nader wdzięczne pole do studjów. Nie mogę pojąć dlaczego, o ile wiem, żaden z naszych malarzy rodzajowy i charakterystycznych nie wziął sobie za przedmiot do obrazu, towarzystwa zebranego w sali oczekiwań. Co za materjał!

Dla mnie jest to widowiskiem, którego program urządzam sobie podług przyjętego raz na zawsze systemu: Mając czasu do woli, wychodzę najprzód na schody głównego podjazdu, przypatrując się fizjognomjom zajeżdżających. Wcześniej przybywający okazują cały swój spokój, bo są pewni swego i są to temperamenta podobne moim. Tacy sami pedanci i wygodnisie, zajeżdżają bez pośpiechu, wysiadają ostrożnie, mają czas nawet targować się z dorożkarzem i żądać reszty, jeżeli nie mają drobnych. Widoczny zysk, bo nie tak się dzieje z maruderami, których cała rownowaga zakłóconą jest tem więcej, im dalej czas się posuwa: stoją w dorożce, wyskakują z niej gorączkowo, wręczają dorożkarzowi należność wyjętą zawczasu z portmonetki, a w razie protestacji tego jegomości, dają mu co mają pod ręką, albo uciekają do przedsionka i zostawiają go niemającego czasu nawet drapać się po głowie, pod naciskiem stróżów porządku publicznego, którzy nie pozwalają mu się zatrzymywać! Często się zdarza, że pokrzywdzony automedon zjawia się następnie w sali oczekiwań, upatrując swojego chwilowego „pana,“ z którym niema już wtenczas najczęściej gadania, bo się śpieszy jak opętany.

Najgodniejszymi politowania są ojcowie rodzin przybywający z żonami i gromadą dziatwy, obarczeni zazwyczaj kuframi i pa-

---

ziemi nastąpi o godzinie 9-tej, niszcząc Barany, Szlak, Redakcję Czasu i świątynię sztuki narodowej wraz z jej drewnianą ornamentyką.

Proszę bardzo moich czytelników, aby o tem, z czem się wygadałem, nie donieśli przypadkiem c. k. dyrekcji policji, mógłbym bowiem za zdradzenie tajemnicy podzielić los «doborowej» publiczności. A przyznam się, że nie byłoby mi to całkiem na rękę, choćby z powodu zjazdu literatów i artystów, którego uczestnikiem pragnąłbym być koniecznie.

Już to, prawdę powiedziawszy, ci co ten zjazd urządzali, nie dowiedli zmysłu praktycznego. Program obrad jest mdły i ckliwy. Jakaś tam «własność literacka,» jakieś jakies tam «pismo informacyjne» jakieś «urządzanie wystaw sztuki,» jakieś «stosunki literackie ze słowiańszczyzną» — co to kogo obchodzić może!? A już doprawdy trudno pojąć myśl założenia «towarzystwa literatów i artystów dla przychodzenia z pomocą wdowom i sierotom po członkach pozostałym.» Przedewszystkiem kto im kazał się żenić i mieć dzieci, a potem umierać? Oprócz obrad nad tym przedmiotem, postanowiono jeszcze wydać bal na zasilenie funduszów proponowanego stowarzyszenia. Taka *prywata* jest oburzająca! Nietylko ja tak twierdzę, ale tegoż zdania jest nawet tak znakomity mąż jak pan.......

Tu miał być ustęp, który prawdopodobnie byłaby skonfiskowała c. k. prokuratorja.

Wprawdzie są tacy, co mówią, iż pomoc wdowom i sierotom jest szlachetną, że filantropja jest rzeczą *publiczną*, bo w innym razie szpitale, Towarzystwa dobroczynności, Czerwonego krzyża itd. byłyby także *prywatą*, a sejmy i rady państwa obradujące nad ich potrzebami zajmowałyby się również karygodnie prywatą—ale wszystko to są sofizmaty, które z pogardą odtrąca wspomniany mąż, a za nim idę ja ze lwowskiem dziennikarstwem.

Program zjazdu ma jednak i swoje dobre strony. Przy «zapoznaniu się» w Kole literackiem (ale to tajemnica) ma być herbatka... z dodatkiem. Będzie to miła niespodzianka, prolog do poematu, jaki nakładem członków ukaże się w dwa dni później w sali Towarzystwa strzeleckiego. Poemat ten wyjdzie w pięciu pieśniach z epilogiem. Jako dziennikarz nie cofam się przed ryczem i «korzystając ze stosunków rozjaśniających sytuację» po raz trzeci zdradzę tajemnicę, podając treść wszyskich pięciu pieśni.

PIEŚŃ PIERWSZA.

Wódka gdańska i koniaczek
I przekąsek wielka kupa,
A po chwili daną będzie
Literacka *Julienne*-zupa.

kunkami. Cała ta paczka wysiada i udaje się do sali, a on nieszczęsny musi płacić dorożkarzowi, ekspedjować wszystkie materklasy i kupować bilety. To też przybywa już po pierwszem dzwonieniu, oczekiwany z utęsknieniem, spocony, zziajany, szczęśliwy, jeżeli nie usłyszy od jejmości bury o to, że dostaną złe miejsce. Czeka go jeszcze męka piekielna, gdy przyjdzie lokować swoje pociechy i szukać miejsca na toboły, które wszyscy dźwigają.

Nie znają tych wszystkich tarapatów uprzywilejowani, podróżujący pierwszą klasą: kareta ich zajedzie wprawdzie raźnym kłusem, ale bez widocznego pośpiechu, chociażby nawet chwila była spóźniona: wysiadają i idą prosto do sali przeznaczonej dla tak dystyngowanych gości, której podwoje portjer roztwiera z uszanowaniem; nie kłopoczą się o nic: od czegoż służba, na której głowie są pakunki i kupno biletów?

W dniu, o którym mowa, podobne towarzystwo zwróciło właśnie moją uwagę. Składały je cztery osoby, dwie panie i dwóch mężczyzn, widocznie zaliczające się do arystokracji, jeżeli nie rodowej, to pieniężnej, bo to teraz coraz trudniej rozróżnić: pierwsza tak się pospolituje, szukając ratunku u drugiej, a ta znowu tak jest w tych kombinacjach pożądaną i podnoszoną, że różnice niegdyś bardzo wybitne dziś wcale nie istnieją. Te cztery osoby znałem niby, widywałem je gdzieś, ale z osobna; to połączenie zbijało mnie z tropu, a że lubię dochodzić tego, co mnie zaciekawia, więc pociągnąłem za niemi do sali pierwszej klasy, która się przed niemi otwarła.

Gdy powiedziałem, że ich było czworo, omyliłem się, bo do towarzystwa należało piąte indywiduum, w elegancki szlafroczek ubrane — charcik, którego na jedwabnym sznurku trzymała młodsza z dwóch pań. Ta ostatnia, osoba dobrego wzrostu i niezmiernie dystyngowana, którą tylko szpecił śpiczasty nosek i niemiły wyraz oczu, była widocznie, na dziś przynajmniej, główną osobą tego grona, obejście się z nią starszej damy i podeszłego pana było nacechowane niezmierną czułością, a czwartej osobistości, młodego człowieka bardzo przystojnego i pełnego szyku, nadskakiwaniem, które tak dobrze mogło być skutkiem rzeczywistego zajęcia się młodą osobą, jak najpospolitszego udawania. Wyraz jego oblicza nic pod tym względem nie mówił, był grzecznym, uprzedzającym, pełnym drobiazgowej troskliwości i na jego polecenie portjer przyniósł z bufetu filiżankę buljonu.

Śledząc z ubocza te osoby, wkrótce wiedziałem już o nich bardzo wiele, zwłaszcza gdy przysiadł się do nich mój dobry znajomy pan Alfons z Kaliskiego, który prowadził rozmowę na cały głos. Pani w wieku była matką młodego człowieka, młoda zaś z pieskiem żoną tego ostatniego, a córką starszego jegomości. Ślub ich odbył się przed paru dniami: dziś młoda para wyjeżdza za granicę, a starsi państwo odprowadzają ich. Oto, com się dowiedział.

Zaprawdę było coś rozczulającego dla najobojętniejszego spostrzegacza w widoku wzajemnego stosunku tego kółka rodzinnego. Wzrok matki pełen bezgranicznej miłości nie schodził z syna i z synowej. Pod wpływem tej czułości topniała konwencjonalno-arystokratyczna powłoka, która na pierwszy rzut oka przedstawiała się jako wrodzoną u tej pani.

Ta kobieta ma serce — pomyślałem sobie i z upodobaniem patrzyłem na wdzięczną zaprawdę sielankę w aksamitach.

Wkrótce dało się słyszeć dwukrotne uderzenie dzwonka. Drzwi na peron otwarto i ruszono się zabierać miejsca w pociągu. Wyprzedziwszy moje towarzystwo straciłem je na chwilę z oczu. Wkrótce siedziałem już w wagonie, przy samem oknie, zwrócony przodem do maszyny, bo nie znosząc dusznej atmosfery, lubię wystawiać twarz na powiew wiatru, odebrawszy od posługacza wierzchnie okrycie, laskę i parasol i umieściwszy to wszystko na siatce ponad sobą, umieściłem się jak najwygodniej i z czystem sumieniem towarzyszącem zawsze spełnieniu tego, co do nas należało, zapaliwszy cygaro, oddałem się na nowo obserwacjom.

Moje towarzystwo skierowało się do przedziału pierwszej klasy znajdującego się tuż obok mnie. Wygalonowany lokaj wnosił do wagonu eleganckie drobiazgi, a państwo tymczasem nie spiesząc się jak zwykli śmiertelnicy, bawili się rozmową, której koszta głównie ponosił mój znajomy p. Alfons; reszta milczała albo odpowiadała monosylabami. Stara jejmość nie spuszczała oczu z syna, jegomość z córki, a ta ostatnia z charcika, który z miną znudzoną usiadłszy na tylnych łapkach, drżał chwilami jak w febrze, co zdawało się bardzo niepokoić jego panią. Nowożeniec nie patrzył na nikogo, wzrok posyłał to tu, to ówdzie, nie zatrzymując go nigdzie dłużej, zauważyłem jako pilny obserwator, że doznawał pewnej niespokojności i że kilkakrotnie spojrzał ku dworcowi, jakby się ztamtąd czegoś obawiał. Idąc w ślad za tą wskazówką, spostrzegłem stojące pod ścianą dworca tuż koło drzwi wchodowych, a wprost naszego wagonu dwie młode kobiety, których zachowanie się zwróciło w kolei moją uwagę.

Były to widocznie dwie siostry, bo podobne do siebie, tylko różniły się co do wieku o jakie kilka lat i młodsza była daleko ładniejszą. Starsza miała na twarzy mocne ślady po ospie i to

---

PIEŚŃ DRUGA.

Jako symbol zaś łączności
Literacko-artystycznej
Paszteciki przyjdą, wolne
Wszelkiej cechy politycznej

PIEŚŃ TRZECIA.

Pieśnią trzecią — z góry czuję
Jak się ogół nią zachwyca —
Będzie arcywyśmienita
Jak ananas polędwica.

PIEŚŃ CZWARTA.

Muzo! użycz mi natchnienia!
Tu sposobność będzie rzadka
Poznać czem jest w swej istocie
Kura à la literatka,

Czem jest kaczka dziennikarska,
Jak smakują sarnie nogi,
I czem kozioł byłby w świecie
Gdyby nie przeklęte... rogi.

PIEŚŃ PIĄTA.

Potok mówek niewstrzymany
Powyrywa sensu brzegi,
Gdyż zasilą go szampany
I węgierskich win szeregi.

EPILOG.

Dla ochłody będą lody,
Poczem pełni miny chwackiej
Pójdą wszyscy uczestnicy
W frakach na bal literacki.

Wracając się do programu obrad stawiam w imieniu moich przyjaciół politycznych następujące kwestje prawdziwej doniosłości praktycznej:

1-mo Jakim sposobem wydać za mąż córkę gołego malarza.

2-do Środki do pozbycia się bryndzy literackiej.

3-io Jakim sposobem chudy literat mający tłustą połowicę może być zabezpieczony od niewierności małżeńskiej.

4-to. Czy kobieta zbudowana w stylu gotyckim posiada architektoniczne warunki do połączenia się węzłem małżeńskim z tenorem w stylu odrodzenia.

5-to. Jak potrzeba ułożyć warunki konkursu na mecenasow literatury i sztuki, aby te, z tradycji tylko znane osobistości, można na nowo powołać do życia.

Jeżeli kwestje te zjazd skutecznie rozwiąże, zasłuży się społeczeństwu nierownie więcej, niż radca Rzewuski broszurą o pomniku Mickiewicza, w której najlepszym ustępem jest przedruk znanej odezwy «Koła liter. artystycznego,» twierdzącej, iż radca Rzewuski jest bardzo dobrym..... radcą i fotografem.

K. B.

ECHA.

Drugi występ radcy Rzewuskiego na polu literackiem (pierwszym była broszura o te-

ją szpeciło. Ubrane skromnie, ale schludnie, wyglądały na szwaczki. Fizjognomja młodszej nadzwyczaj sympatyczna odbijała na sobie boleść bezgraniczną, w oczach, skierowanych uporczywie w stronę, gdzie stało moje towarzystwo, błyszczały łzy, a ładnie wykrojone usteczka drgały spazmatycznie walcząc z płaczem, który biedactwo poskramiało całą siłą woli. Starsza trzymała ją za rękę i nie spuszczając z niej oczu, szeptała jej do ucha słowa, których wpływ widać działał uspokajająco, bo nieboga zdobywała się chwilami na blady uśmiech, sprawiający na spostrzegaczu jeszcze przykrzejsze wrażenie, niż sam płacz.

To wszystko trwało niedługo, bo za chwilę dało się słyszeć potrójne uderzenie dzwonka i konduktor otworzył drzwi mojego wagonu, do którego wskoczył szybko p. Alfons i zaraz wsparł się w oknie przed samym moim nosem, rzuciwszy tylko krótkie „przepraszam.“ Pociąg ruszył. Przez szybę, koło której byłem uplasowany, widziałem, że dawał znaki dwom nieznajomym, nawet powiedział parę słów, z których usłyszałem tylko ostatnie: do widzenia! Ponieważ pociąg już się oddalał, przeto wcisnąłem się gwałtem w okno obok pana Alfonsa i dojrzałem, że młodsza z dwóch kobiet zasłaniając sobie oczy chustką, jakby płakała, wsparła głowę na ramieniu starszej, która ją spiesznie uprowadziła.

Pan Alfons dobył cygaro i zapalając je, rzekł do mnie.

— Te panie nie znoszą dymu tytuniowego; oszczędziło mi to parę rubli, bo inaczej wypadałoby mi jechać razem z nimi... pierwszą klasą.

— Zyskałem przez to towarzysza podróży — odpowiedziałem.

Uśmiechnął się wdzięcznie, poczem zaciągając się dymem cygara, zapytał z niechcenia.

— Jak się też panu podoba panna młoda?

Zrobiłem gest dyplomatyczny, uśmiechnąwszy się w sposób dwuznaczny, co mój towarzysz mógł sobie tłumaczyć jak mu się podobało. Zrozumiał mnie jednak doskonale.

— Nie zalicza się do rzędu tych — rzekł poufnie — których widok każe zazdrościć nowożeńcowi, nieprawdaż? Pułkownikowa zacna, święta niewiasta, czulszej matki nad nią nie znajdzie, ale przyznam się, że w kwestji tego małżeństwa postąpiła sobie zanadto bezwzględnie.

— Związek na podstawie konwenansu? — bez przywiązania? — zauważyłem.

— W całem znaczeniu tego wyrazu.

— Zwykłe i codzienne rzeczy — dla egoistycznych celów poświęca się dziecko.

— Ależ ta kobieta nie jest egoistką! — zawołał p. Alfons z zapałem — całe jej życie było szeregiem ofiar i poświęceń. Jako przyjaciel domu mogę zaświadczyć. Jestem kolegą szkolnym i przyjacielem Edwarda, z którym razem przepędzałem prawie wszystkie wakacje w domu jego rodziców, miałem więc sposobność poznać stosunki. Już jako młoda panienka dowiodła serca i bezinteresowności, wychodząc za mąż z miłości i to nawet wbrew woli rodziców, za człowieka niemającego ani grosza.

— No, był pułkownikiem.

— Gdzież tam! prostym podporucznikiem... dla niej wziął dymisję.

— Zkądże więc ten tytuł?

— Tak jakoś urobił się...

— A sama, miała majątek?

— Bardzo znaczny.

— Który pan podporucznik przeszastał niezawodnie...

— Owszem, powiększył. Zresztą, choćby chciał, nie miał możności. Dobra, naturalnie, były hipotekowane na panią, a i gotówki nie wypuszczała z ręki.

— Pomimo, że wyszła za niego z miłości?

— I kochała go szalenie, cały świat wie o tem i służyła mu na klęczkach, w ręce całowała publicznie.

— A jednak trzymała w rękach.

— To po prostu przez zazdrość.

— Przeniewierzał jej się?

— Ale gdzież tam! Kochał ją... to było co innego... Widzi pan, wszakże on żeniąc się z nią zrobił karjerę, nieprawdaż? to niema gadania... więc miała wszelkie prawo uważać to za swoje dzieło... to było jej rozkoszą... Otóż nic ją tak nie drażniło, jak jakikolwiek dowód samodzielności ze strony męża... chciała, aby jej wszystko zawdzięczał, pod tym względem była o niego niesłychanie zazdrosną.

— I czyż to nie był egoizm?

— Nie, to było coś nerwowego.

Roześmiałem się głośno.

— Pan ją potępiasz? — zawołał p. Alfons — ależ weźmy na uwagę, że to nie było w złej myśli... tłómaczy ją zbytek przywiązania... Chociaż mogła być pewną serca męża, chciała go przywiązywać do siebie coraz więcej wdzięcznością jaka jej się od niego należała.

---

atrze) przeszedł wszelkie oczekiwania. Tytuł tego studjum brzmi: «Gdzie postawić pomnik Mickiewicza przez Walerego Rzewuskiego z 4-ma litografowanemi tablicami.» Rzecz prosta, iż p. «Walery Rzewuski z 4ma litografowanemi tablicami» dowodzi w swej broszurze konieczności postawienia pomnika przed biblioteką jagiellońską. Sprzeczać się z nim po tem, cośmy o jego niefortunnym projekcie w swoim czasie powiedzieli, byłoby powtarzać argumenty, których słuszność z nader drobnym wyjątkiem cała prassa uznała. Warto jednak podnieść parę ustępów broszury, a to dla wykazania niesłychanej oryginalności poglądów autora i przerażającej siły motywowania.

Od str. 4-tej do 18-stej ciągną się cytaty z listów Odyńca, ze wspomnień M. Goreckiej, córki Adama, oraz z biografij wieszcza. Wszystkie te cytaty nie mogą mieć innego celu jak zapoznanie czytających z charakterem Mickiewicza, aby na tej podstawie wysnuć wniosek: jakim pomnik wieszcza być powinien i gdzie dla niego najwłaściwsze miejsce. Przytoczmy więc parę *drobniejszych* cytat, dlatego, aby je można podać *w całości.*

Str. 6. Jeżeli zaś głową tego grona (Filomatow) był Tomasz Zan, to duszą, albo raczej sercem jego był Mickiewicz, ktory je już w pierwszych czasach istnienia pieśniami swemi w wysokim stopniu umiał ożywiać. T. Zięba. Bibl. Warsz.

Str. 6. Odbierzesz tu rubli asygn. sto, połowę dla ciebie, połowę dla Janka. Może Janek przyjąć bez skrupułu: to są pieniądze uzyskane z Wallenroda. Listy z podr. Odyńca I. 19.

Str. 8. Ojca, którегom była zostawiła ciemnym brunetem, znalazłam osiwiałego: podczas choroby naszej matki i strasznego o nią niepokoju we trzy dni bujne jego włosy posrebrzyły się. Wsp. M. Goreckiej 22.

Str. 10. Nieraz słysząc nas mówiących, wzdychał, że mamy akcent bezbarwny, cudzoziemski. On byłby chciał słyszeć w naszych ustach tę mowę śpiewną, litewską, ktora nadewszystko była mu miłą. Tamże 40.

Str. 12. Masz rację! głupcy tylko nie czują i nie boją się mocy Bożej. Listy Odyńca IV. 90.

Str. 15. Celem sztuk wszystkich jest wpływ ich na ducha ludzkiego, inaczej będą to tylko czcze cacka, z tą chyba jedynie różnicą, że w nie starzy, a nie dzieci się bawią. Listy Odyńca.

Nieprawdaż, że te wszystkie cytaty są dostateczne, aby pomnika Mickiewiczowi nie postawić na rynku?

Ale oto jeszcze jedna świetna argumentacja (str. 37):

«Obecnie, naprzeciw wszystkich tych miejsc, gdzieby pomnik mógł stanąć, są handle delikatesów, a jakby to odpowiadało własnemu przekonaniu wielkiego wieszcza, pozwolę przytoczyć jego własne słowa:

«Najsmutniejszym symptomatem moralnego i umysłowego usposobienia mieszkańców jakiego miasta, jest prosperujący w nim stan handlu wykwintnych zamorskich delikatesów, w czem się razem i materjalny

— I przypominała mu zapewne co chwila o tym obowiązku.

— Nigdy! a jeżeli czasem stało się coś podobnego, to tylko przez zbieg okoliczności. Naprzykład, osądź pan sam: żeniąc się miał pan porucznik jakieś kawalerskie dłużki, do których przyznawać się nie widział potrzeby, mając nadzieję spłacenia ich po trochu z dochodów, to jest z swojej pracy, bo że pracował ani słowa... Otóż pani dowiedziała się z boku o tych dłużkach i zrobiła mu najokropniejszą scenę.

— A to czy było delikatnie?

— Dobrze! ale o cóż jej szło? nie o to, że miał długi. tylko że się do nich nie przyznał przy ślubie i że przez brak zaufania pozbawił ją przyjemności wyratowania go z przykrej sytuacyi... Czyż to nie był z jej strony dowód serca?

— Bardzo pięknie- rzekłem — tylko trzeba było mieć jakiś wzgląd na drażliwość tego człowieka, który mógł mieć przecie ambicję i którego prawdopodobnie upokarzała myśl pozostawania na łasce żony i w zależności od niej.

Ciąg dalszy nastąpi.

OJCIEC.

Dziecko moje blednie, w oczach gaśnie,
Z kolan matki już nie schodzi prawie.
W nocy żona, gdy na chwilę zaśnie,
Sam, jak umiem, chore dziecko bawię.

Pochylony siedzę nad kołyską:
„Tylko nie płacz, bo mama usłyszy!“
Tuż pod ręką dzwonek — woda blisko...
Może zaśnie? — mówię coraz ciszej.

Wtem on ku mnie wyciąga rączęta.
Patrzę gdzie też jego oczka biegą?..
Pił przed chwilą — lampa przysłonięta..,
Wiem: chce czegoś — ale nie wiem czego?

Biedny dzieciak! prosił czegoś u mnie,
A ja, wiedzę co zgłębiwszy całą
Uszczęśliwiać chciałem ludzkość dumnie,
Nie odgadłem czego dziecko chciało!

Usnął znowu — a mnie łza gorąca,
Gość nieznany spłynęła po twarzy.
Wszędzie głucha cisza, noc bez końca,
Wkoło widma mogił i grabarzy...

Och, przebyłem w życiu mąk niemało
I łzy nigdy nie znałem niewieściej,
Alem takiej nie przeczuł boleści —
Poco niebo mi to dziecię dało?

Niech by raczej mię Bóg bezlitośny
Na najcięższe rzucił z losem boje!..
I z mej piersi jęk się wydarł głośny.
Obudziłem chore dziecko moje!

Czesław.

Z ARABESEK.

Patrzcie państwo, wszędzie... sza!
(Mówmy ciszej nieco)
Gdzie nie spojrzeć rąbią drwa,
Na nas trzaski lecą.
Siedzim cicho tyle lat,
Pilnujemy swego;
Za łeb wodzi brata brat,
A nas tylko strzegą,
I milczącym mówią: „sza!
Milczcie ciszej nieco..“
Silnie widać rąbią drwa,
Gdy tak trzaski lecą.

Stare puszcze rąbią w pień,
A tu coraz gorzej:
Gdzie był dawniej chociaż cień,
Wicher dziś się sroży.
Wycinają sami las,
Wichrom niema tamy,
I przekonać pragną nas,
Że to my dmuchamy.
A my ledwie dyszem... sza!
(Mówmy ciszej nieco)
Gdzie nie spojrzeć rąbią drwa,
Na nas trzaski lecą.

Czesław.

---

sybarytyzm i płoche marnotrawstwo objawia (Listy Odyńca I. 260).»

Schylamy głowę w pokorze przed takim argumentem. Sądzimy, że czytelnicy uwolnią nas od dalszych wyjątków z dzieła radcy Rzewuskiego.

Słówko na zakończenie. Pan Rzewuski tłomaczy się, że tylko «miłość do rodzinnego gniazda» i chęć «najlepszego pomieszczenia tak wielkiego gościa jak Mickiewicz,» kierowała nim kiedy podał swój projekt. Wierzymy temu mocno — ale pozwolimy sobie uczynić zapytanie: Czy jest rzeczą właściwą iść ciągle wbrew opinji ogółu, starać się tę opinją bałamucić rozmaitemi obrazkami i artykułami pomieszczanemi w pismach warszawskich nieobeznanych z projektowaną miejscowością, czy wreszcie właściwą jest rzeczą uporem swym przewlekać sprawę postawienia pomnika? Tu już nie «miłość rodzinnego gniazda» kieruje p. Rzewuskim, ale miłość..... własna. Dużo było projektodawców, lecz każdy widząc do swego projektu niechęć ogółu ustąpił i uczynił szlachetnie i rozsądnie. Jeden tylko p. Rzewuski walczył i walczy dotąd, używa wszelkich środków i sposobów, z zapałem godnym lepszej sprawy wyszukuje coraz nowe, a coraz zabawniejsze argumenty—i dziwi się jeszcze, że ten jego upór, szkodliwy, bo przeciągający sprawę niepotrzebnie, karci surowo opinja.

Piszący te słowa przed trzema laty był również przeciwny rynkowi, bo składki wynosiły zaledwie czterdzieści kilka tysięcy, a przybliżony kosztorys wzniesienia pomnika podawano na 60.000 złr. Trudno było myśleć o postawieniu pomnika za tę sumę na rynku, choć odpowiedniejszego miejsca w Krakowie nikt nie znajdzie. Gdyby choć mieć sto tysięcy — mówiono! Dziś te sto tysięcy już mamy, a zanim konkurs się rozstrzygnie, zanim pomnik wymodeluje artysta, zanim go odleją i postawią, upłynie lat bodaj czy nie cztery. Składki wówczas wraz z procentami przeniosą 150,000 — a taka summa, niech daruje radca Rzewuski, wystarczy na na pomnik spiżowy wielkich rozmiarów. Tak twierdzą specjaliści i znawcy— a im więcej wierzymy, niż radcy Rzewuskiemu.

Towarzystwo wzajemnej pomocy artystów w Krakowie, pragnąc uczcić 200-letnią rocznicę odsieczy wiedeńskiej przez króla Jana III dokonanej, postanowiło wydać wizerunek Ukrzyżowanego Jezusa Chrystusa (zwanego krucyfixem królowej Jadwigi) w ołtarzu Katedry krakowskiej na Wawelu znajdującego się, przed którym to królowa Marya Kazimiera modląc się, od dworzanina Dupont'a wysłanego przez króla Jana III. dowiedziała się o zwycięztwie odniesionem nad Turkami.

Na szczycie chromolitografji umieszczono wizerunek Najświętszej Panny Marji, o którym czytamy w dyarjuszu wiedeńskiej okazyi opisanej przez Mikołaja Dyakowskiego pokojowca krola Jana III. następujący ustęp:

« · . . . Wtem puścił się deszcz spory, gdzie namiotek bardzo mały i mizerny dla

Autor Swady Danejkowicz.

Z niedrukowanych prac Juljana Bartoszewicza.

Dokończenie.

Jest i drugi spółczesny dowód. Krasicki w dodatkach swoich do Niesieckiego, wiecej dzieł Sapiehy przytacza, niż autor Korony. Ale Swadę wyraźnie jemu przypisuje. Wspomina o niej tak: «pisał także (Sapieha) Swadę polską i łacińską, wydaną pod imieniem Danejkowicza.» Więc pisał, i pod imieniem. Krasicki mógł te rzeczy z pierwszego źródła wiedzieć, ztąd waga jego zeznania. Spokrewniony z Sapiehami, z jednym z nich pobierał wspolnie nauki, później był proboszczem infułatem kodeńskim, przy kościele którego cudowny obraz opisywał kanclerz, w mieście, którego kanclerz był dziedzicem. Nie ulega wątpliwości nawet, że kanclerza znał osobiście, nie dzieckiem będąc, ale już dorosłym młodzieńcem. Kanclerz był, że tak powiemy, patryarchą swojej rodziny, znali go wszyscy i starzy i młodzi Sapiehowie, radzili się go o wszystko. Kanclerz popierał ich u dworu, godności, starostwa im wyrabiał. Krasicki więc nie pisał z nasłychu, ale o rzeczy dobrze sobie wiadomej i świadectwo jego historyczne jest, spółczesne, niepodejrzane.

Nie dla Niesieckiego jednak i Krasickiego przypisać byliśmy gotowi Sapieże autorstwo Swady. Powtarzamy, rzecz ta jest gdzieś poświadczona stanowczo.

Po wydaniu naszej książki natrafiliśmy jednak na dowody, ktore żadnej nie zostawiają wątpliwości.

Dowody te mamy w listach koadjutora wileńskiego Józefa Sapiehy, biskupa Dyocezarei, które się przechowały aż do naszych czasów. Zbior to niezmiernie bogaty, lubo niekompletny. Listy swoje kazał koadjutor spisywać w księgi. Doskonały w nich obraz epoki i prowincji. Przeglądaliśmy listy od roku 1744—1747, t. j. z lat czterech. Koadjutor, jak to już mieliśmy kilka razy sposobność przy okoliczności namienić, był niepospolitą także postacią. Po kanclerzu Sapieże, ten Sapieha najruchliwszy, najwięcej w dziejach epoki wybitny. Kanclerz odznaczał się powagą, wiekiem, stanowiskiem. nauką, koadjutor zdolnością, życiem nadzwyczajnem, chociaż ciągle chorował, ciało było słabe, dusza mocna. Obadwaj, koadjutor i kanclerz, nieskazitelni, najserdeczniej służyli Rzplitej, a koadjutor jeszcze i kościołowi, do którego mocno i stale był przywiązany. Koadjutor był też literatem, każda książką niezmiernie go interesowała. Znał uczonych, lubił ich towarzystwo, zakładał swoją własną bibliotekę, z X. Załuskim był w ścisłych stosunkach. Krasicki słyszał o autorstwie Swady, koadjutor widział jak budowała się książka. Dodajmy, że najpierwszą Swadę, t. z. oratorską, kanclerz koadjutorowi ofiarował.

Otoż w liście koadjutora do kanclerza pisanym z Wilna 11 grudnia 1745 r. czytamy już po wyjściu owej pierwszej Swady z dedykacją koadjutorowi:

«Suplikuję o przysłanie dwóch, a choćby trzech, pomyliwszy się, egzemplarzów mów nowowydanych; ja zaś i za ten respekt i za dedykację wielce obligowany będę imp. Danejkowiczowi, któremu kłaniając nomen sub allegoria] contentum demisso poplite veneror (nazwisko pod allegorją ukryte na kolana uklękłszy, czczę) i za tę łaskawą pamięć z wdzięcznym sercem prawdziwego kollektora tych oracji, stopy całuję, łącząc aprekację z okazji blisko następujących solennizacyj, aby cum nascente Christo» itd.

Czy może być jaśniejsze wyznanie, że prawdziwym kollektorem Swady nie jest Danejkowicz, ale kanclerz? Kogożby to zresztą tak na kolanach powazała wielkość i Sapiehy i biskupa, jeżeli nie koadjutora. Szlachta upadała, klękała podówczas przed panami, nie zaś panowie przed szlachtą. Szlachta była na rozkazy, na zawołanie panow. Żarty to stroić sobie z ludzi, żeby przypuszczać, że zasługa jakakolwiekbądź literacka, czy nawet rycerska, nawet na świat cały głośna, mogła wowoływać takie hołdy ze strony panów Rzplitej. Tutaj Sapieha skłaniał się przed Sapiehą, biskup ale młody latami przed sędziwym patryarchą, ktory ukrył swoje imię pod allegorją, a był «prawdziwym kollektorem tych oracyj» t. j. jest Swady, drukowanej w r. 1745.

Mamy tu fakt ciekawy literacki, wyśledzamy pseudonimy dawne. Nowy to zwyczaj u nas. Dotąd wychodziły w Polsce rożne broszurki i dzieła bezimienne, lub pod zasłoną udanego nazwiska, ale jakie? Te które podnosiły rzecz nową, polityczną w Rzplitej, te ktore urażały ludzi wielkiego stanowiska. Nic dziwnego, że takie druki osłaniały się tajemnicą. Tutaj o ile wiemy, spotykamy pierwszy fakt pseudonymu czysto literackiego, którego późnem potomstwem są Pasternaki, Pługi, Bleponscy, Czombrowie.

Tom pierwszy Swady rozrywali panowie litewscy w Wilnie. X. koadjutor nie mógł się im żadną miarą opędzić.

«Dziękuję jak najuniżeniej WM. panu, pisze koadjutor znow do kanclerza dnia 22 Stycznia 1746, za przysłany pierwszy tom Svadae Polonae, w ktorej rozpatrzyć mi się nie przyszło, ponieważ mi ją zabrał violento modo (gwałtownie) jmx. biskup wileński z klasygacją, że mi tej książki nie odda. Jeżeli tedy WMP. chcesz praevenire (uprzedzić) w Litwie bellum sacerdotale (wojnę duchowną) suplikuję mieć kompasję nad moją biblioteką, a ja interim metu reverentiali debito (tymczasem z bojaźni, z obowiązku świętobliwego należnego) odemnie jmx. biskupowi swoje comprimam (uspokoję) żale.«

---

króla rozbito, który w trokach wozów i poczęli okopywać około namiotku aby go woda nie podchodziła; wtem wykopują obraz Niepokalanie Poczętej Najświętszej Marji Panny, arkuszowy, na płótnie malowany, w trąbkę zwinięty (jest on po dziś dzień w skarbcu żółkiewskim u królewicza JMci), który gdy przyniesiono do króla a krol go wziął, z wielką weneracją pocałował: aż wtem któryś ze stojących mówi: «Miłościwy Krolu, są litery jakieś na drugiej stronie» — Krol mowi: «Czytaj» — Aż tam napis takowy łacińskim charakterem czyta: «Erit Victor Joannes» Krol się odzywa: «Co ty bestjo gadasz?» — Czytający odpowiada: «Ja to czytam, co napisano.» — Król mowi: «Daj mi go sam.» Czyta znowu sam król, a że toż samo znowu, pocałował król ten obraz, mówiąc te słowa: «Któż wie, co za Joannes będzie Victor»...

Na obramieniu wizerunku Chrystusa Pana umieszczone są dwa medaliony złote przedstawiające podobizny krola Jana III. i królowej Marji Kazimiery.

U spodu chromolitografji mieści się tarcza Sobieskiego i po obu jej stronach buńczuki tureckie, jako trofea zdobyte pod Wiedniem.

Tarcza ta zachowana potem była w skarbcu Sobieskich w Żółkwi, przeszła do skarbca XX. Radziwiłłów. XX. Czartoryscy otrzymali ją od Dominika X. Radziwiłła i obecnie znajduje się w ich Muzeum w Krakowie.

Piękna ta pamiątka obchodu jubileuszowego posiada wielką artystyczną wartość. Dochód z niej idzie na cel szlachetny, bo na Towarzystwo wzajemnej pomocy artystów polskich.

Pan S. Ungar, właściciel szynku na rogu ulic Karmelickiej i Krupniczej, wystawił przed swoim zakładem bramę tryumfalną. Pomijając jej nieestetyczność, musimy wyrazić zdziwienie, że magistrat pozwolił w obecnym czasie na jej wystawienie. Wszakże tamtędy iść będą tłumne processje, a podobna brama o wąskich przejściach wypełniać tyko będzie obowiązki maszyny duszenia. Mógł pan Ungar poczekać aż ukończą się uroczystości koronacyjne.

Po napisaniu słów powyższych dowiadujemy się, że brama ta wystawiona została nie przez p. Ungara, a przez komissję dekoracyjną komitetu jubileuszowego. Dlaczegóż

Tym biskupem wileńskim był wówczas ks. Michał Zienkowicz, mąż bardzo pobożny, cichy i światły, który książki również lubił. Kanclerz pierwszy egzemplarz przysłał koadjutorowi, który w dziele nawet rozpatrzyć się nie mógł.

Kanclerz zlitował się nad biblioteką złupioną przez X. Zienkowicza i spory kufer naładowany egzemplarzami Swady przysłał do Wilna koadjutorowi, który szczęśliwy był, że mógł teraz z przyjaciołmi dzielić się pożądaną nowością literacką. To też odpisuje dziękując. «Doszły mię z łaski WM. Pana deklarowane volumina mów, jako zaś przeszłą pocztą uniżenie dziękowałem za one in spe, tak teraz najniższe ponawiam podziękowanie za effectum nadziei mojej. Dyspartyment onych takim się stał porządkiem: Imci starosta Punski, jak zwykł z bibliotek Sapieżyńskich rapere quae potest, dwa tomy mi odebrał, drugie dwa cesserunt Imci ks. kanonikowi Łopocińskiemu i IMP. Wojskiemu Mścisławskiemu, piąte volumen zabrała Inflanteria, IM. ks. biskup Smoleński wespół z IMP. kasztelanem inflantskim tu przytomni, aby nawet in ultima Thule praca JMP. Danejkowicza, albo raczej autora tak pięknej i wybornej kollekcji było depredykowane, ostatni ledwo się w mojej bibliotece utrzymał.» Zajmujące to szczegóły, koadjutor mówi o samych osobach historycznych. Naprzód starosta puński jest rodzony jego synowiec, nadzieja domu, wychowaniec samego koadjutora, który się troszczył o niego jak o najdroższe swoje dziecię. Ten starosta, młodziutki jeszcze podówczas Aleksander Michał Sapieha, był później kanclerzem w czasach Targowicy. Brat to rodzony sławnej zbiorami siemiatyckiemi Anny Sapieżanki Jabłonowskiej, wojewodziny bracławskiej, której życie i zasługi skreśliliśmy w Kółku Domowem. Ten młodzieniaszek był szlachetnym człowiekiem, dobrym obywatelem, tylko jak widzimy łapał z książek co mógł, tylko u swoich, z bibliotek sapieżyńskich. Koadjutor nic nie miał przeciw takiej uczonej chętce do łupów. Dwa inne egzemplarze Swady dostały się dwom rodzonym braciom Łopacińskim, z którymi koadjutor żył w najserdeczniejszej przyjaźni, zwłaszcza z kanonikiem, który także był literatem, dzieła wydawał, a w końcu został nawet biskupem żmudzkim. Wojski, brat jego, był już za czasów Stanisława Augusta wojewodą brzeskim. Ciekawe trzeciego brata Ignacego pisarza skarbowego litewskiego, pamiętniki, drukowała przed kilkunastu laty Biblioteka Warszawska.

Po Łopacińskich idzie Inflanterja, dwaj bracia Hylzenowie i obadwaj także literaci. Mamy tutaj żarcik epoki. Była infanterja w wojskach koronnem i litewskiem, Hylzenów nazywano Inflanterją, że obadwa pochodzili z Inflant; podobno pierwsi w rodzinie spolszczyli się, na pamięć zacną sobie zasłużyli. Oczywiście przekręcając powszechnie znajomy wyraz, panowie nasi utworzyli Inflanterję, może nawet Sapiehowie. Ten żart wszelako jest dobrego tonu, zacny, poczciwy, chwalono niem braci zawsze dla siebie wylanych, zawsze zgodnych przyjaciół, bo rzadko nawet usposobienie, humory, charaktery, tak dwie osoby do siebie zbliżały, jak tych dwóch braci. Hylzenowie przez stosunki z Sapiehami urastali. «In ultima Thule,» t. j. na ostatnich krańcach świata polskiego, w rodzinnej swojej stronie w Inflantach, mieli Hylzenowie rozszerzać sławę «jmp. Danejkowicza, albo raczej autora tak pięknej i wybornej kollekcji.» Drugie to zeznanie, że Danejkowicz nie był autorem Swady, ale kanclerz, który rozsyłał egzemplarze; koadjutorowi, jak widzimy, sześć ich przysłał.

Tom Swady łacińskiej jeszcze podowczas nie wyszedł. Pomagał koadjutor kanclerzowi szukać do niej materjału, myślał także o dopełnieniach, czyli tak pospolicie wówczas zwanych suplementach Swady polskiej.

Więc w tymże samym liście z dnia 12 Marca 1746 pisze z Wilna: «Przyszłą pocztą komunikować będą WM. panu niektóre mowy polskie Piotra Sapiehy, starosty uświatskiego i brata mego jmp. łowczego lit., że per modum supplementi będą się mogły pomieścić przy tomie Swady łacińskiej. Tam jeżeli WMP. każesz inserere niektóre opera łacińskie, życzę przyłączyć opusculum Orzechowskiego bardzo piękne pod tytułem: Fidelis subditus, seu de institutione Regia», stylem ad apparentiam prostym, ale w racjach mocnych napisane, a teraz rzadkie.»

Widzimy, że kanclerz sam i nadal zbierał materjały, kierował wydawnictwem swojej książki. Inaczej i być nie mogło, kiedy był jej autorem, zbieraczem.

W liście do kanclerza z dnia 4 Czerwca 1746 koadjutor znowu obiecuje:

«Przyszłą pocztą starać się będą zebrać cokolwiek z manuskryptów, któreby się mogły zmieścić w tomie łacińskim.»

W innym liście z dnia 16 Lipca jeszcze obietnice:

«Mowę Jana Sapiehy posyłam; mowy zaś jmp. łowczego łatwo mieć będziesz, mając u siebie samego autora, którego niepotrzebna napadła modestia, że ich kopję dać mi nie chciał; inne projekta druku godne, jeźli mi się zdarzy znaleźć, nieomieszkam WM. Panu communicare (przesłać).»

Obiecywał tutaj koadjutor mowy Sapiehy, którego raz nazywa Piotrem, drugi raz Janem, ale objaśnia, że tutaj rzecz idzie o starostę uświatskiego. Jan Piotr Sapieha był w dobie koadjutora już od półtora wieku postacią historyczną, bohaterską; odznaczył się w dziejach samozwańców, jego ambicja tak daleko sięgała, że pomawiano go o myśl opanowania tronu po drugim Dymitrze. Łowczy litewski zaś, o czem już wiemy, był rodzonym bratem koadjutora. Za chwilę będzie wojewodą podlaskim, później podkanclerzem litewskim. Teraz z Radziwiłłówną, wdową po ostatnim z Wiśniowieckich, Michale Serwacym, ożeniony, później

---

w takim razie zwróconą jest frontem nie do kościoła lecz do szynku pana Ungara? W każdym razie należałoby w pobliżu urządzić straż ratunkową dla uduszonych.

* * *

Uroczystość ludowa podczas jubileuszu Sobieskiego pomimo wszelkich usiłowań pewnej koterji przyjdzie do skutku. Odbędzie się zaś w sposób następujący (szczegóły podajemy według ostatnich uchwał komitetu).

Delegaci z powiatów Galicji wyruszą d. 11 o godz. 1wszej w uroczystym pochodzie na Wawel, gdzie złożą wieńce na grobowcu Króla Jana i obejrzą drogie pamiątki przeszłości. Z Wawelu udadzą się na Błonia, gdzie ich powita reprezentacja miasta i rady powiatowej, w imieniu których przemówi Dr. Weigel, prezydent miasta.

O godz. 3-ciej zbiorą się przed kościołem pp. Wizytek włościanie krakowscy i w pochodzie wyżynkowym udadzą się przez ulicę Florjańską, Rynek i ulicę Szewska na Błonia.

Pochód włościan krakowskich rozpoczynać i kończyć będzie banderja krakowska. Wieńce z żyta, pszenicy, jęczmienia i owsa, niesione będą przez 24 druchen, owoce przez tyleż starościn. Muzyka miejska w ubiorach wiejskich towarzyszyć będzie pochodowi.

Gdy oba pochody zejdą się razem na Błoniach przemówi jeden z włościan krakowskich, witając przybyłych, na co mu jeden z delegowanych (prawdopodobnie rusin z Oleska, miejsca urodzenia Sobieskiego) kilkoma słowy odpowie. Nastąpi wręczenie darów i pamiątek. Pamiątki stanowić będą broszury Danielewskiego, przedrukowane na ten cel w Krakowie i nieco przerobione, oraz medale z portretem króla Jana, herbami Polski, Litwy i Rusi otaczającemi wizerunek Matki Boskiej i z stosownemi napisami. Medale te również osobno przez komitet zostały obmyślane i zamówione.

O godz. piątej wieczorem powrót ogólny przez ulicę Wolską, przed kościół ks. Karmelitów, gdzie nastąpi na ścianie kościoła ks. Karmelitów odsłonięcie tablicy *pamiątkowej* z napisem: „Dnia 11 Września 1883 r. włościanie polscy zebrani w Krakowie, obchodzili uroczyście dwóchsetną rocznicę odsieczy Wiednia przez Jana Sobieskiego — na pamiątkę czego kamień ten fundowany.“ Równocześnie wygłoszoną będzie mowa (prawdopodobnie przez X. Polkowskiego), obejmująca popularne przedstawienie dziejów odsieczy wiedeńskiej.

był zięciem Czartoryskich. Teraz bawił właśnie w gościnie u kanclerza w Kodniu; koadjutor skarżył brata przed kanclerzem, który mógł prędzej wydobyć to na nim, czego nie mógł brat z powodu wielkiej skromności łowczego. Dodajmy, że Michał Sapieha był miłym gościem w Kodniu, że z Radziwiłówną żonaty, jak i kanclerz, który niezmiernie sobie tę krew cenił, możemy nawet powiedzieć, że był ze swoich związków małżeńskich dumnym. Łowczy był także autorem, tłomaczył Zairę Woltera, a była to również nowina literacka chwili. Patrzmyż co to było za przywiązanie do literatury w tych Sapiehach! Zdolności do pióra szły u nich dziedzicznie.

28 Stycznia 1747 pisze koadjutor do kanclerza:

«Mowę jmx. kanonika Massalskiego posyłam; jeźliby się to mogło pomieścić in Swada latina oratoria, byłoby to opus gratissimum, co ja mam pro principali objecto.»

Kanonik Massalski, później biskup wileński, kończąc nauki bronił w Warszawie tez i z powodu nich miał mowę. Koadjutor, który głównie się nim opiekował, już wprzódy zgłaszał się o tę mowę i o mowy zbijających tezy «jeżeli nie są już oddane jp. kanclerzowi W. W. X. L.»

Tak więc patryarcha rodziny nawet najmniejsze drobiazgi gromadził do swojej biblioteki.

O tezach Massalskiego jeszcze raz wzmianka:

«Trzy oracje miane od tych, którzy opugnowali jmx. kanonika Massalskiego posyłam; zdają mi się być piękne i druku godne, a co większa, mogłoby to ojca jego obligować, którego menażować należy, zwłaszcza, gdy to nie siła kosztuje. In novi nie kładłem, bo są komponowane i mówione od Pijarów i Misyonarzy, które typografje jezuickie nie rade drukują.»

Otóż i szczegół ciekawy współzawodnictwa zakonów w Rzplitej za czasów saskich.

Ale oto i ostatni ważniejszy wypis z owych listów X. koadjutora wileńskiego, Józefa Sapiehy.

«Dziękuję także WM. Panu, pisze do kanclerza dnia 17 Czerwca 1747, za przysłanie operis latini (dzieła łacińskiego) kollekcji jp. Danejkowicza; musi mu każdy przyznać, że mocno się stara, aby nietylko teraz miał uniwersalną estymację, ale też apud seram posteritatem (do późnej potomności) w długie wieki gloriam immortalem (sławę nieśmiertelną) za tak pracowite zbieranie rożnych lukubracyj wielkich ludzi w ojczyźnie naszej, które dotychczas delitescebant (kryły się) w prywatnych domach i na końcu zginęły od molów, albo od czasów zniszczone z wielką szkodą rei literariae (nauki) i autorów w niepamięć zagrzebionych wespół z honoru nacyi u cudzoziemców ujmą. Familja też nasza powinna być bardzo wdzięczna, bo jak widzę ma osobliwszą komplacencję w imieniu sapieżyńskiem, ani się odraził, żem go kazał surowo słuchać kalkulacji po tenucie Bezdzieżskiej i że nie chciałem mu kondonować remanentu, który przy nim jeszcze znajdował się; obawiam się jednak ponieważ ma siła adversarios (przeciwników), aby go taż sama sors (los) nie spotkała w Bezdzieżu, gdzie prawdy się domacano podobno z jego nieukontentowaniem, tu zaś przeciwnicy nie wiem czy nie wytropią, że IP. Danejkowicz jest umbratilis compilator tanti operis (w cieniu ukryty zbieracz dzieła) i że onego imieniem kogoś poważniejszego pokryła się modestia, bo in hoc casu (w tym przypadku) miasto pochwał, ściągnąłby na siebie żarty, że wlazł jak Piłat w Credo i mereretur (zasługiwał) nie tak powinszowania jak kondolencji komplement.»

Drugie to zeznanie, że kto inny występował na tytule książki, kto inny rzeczywistym był jej autorem. Danejkowicz był tylko umbratilis compilator, Danejkowicz i Sapieha zostawali do siebie w takich stosunkach jak X. Krasicki i Mowiński. Krasicki komedje pisał, Mowiński je podpisywał i wydawał na świat pod swojem imieniem.

Żartuje tu w liście koadjutor z Danejkowicza, że go do surowych pociąga rachunków z dzierżawy, jaką u niego trzymaw Bezdzieżu. Mamy tu jeden szczegół biograficzny więcej o Danejkowiczu. Bezdzież ów leżał na Pińszczyźnie. «Błota i wody w tych dobrach, opowiada Starożytna Polska, są nadzwyczaj niedostępne i rozległe; są wsie, do których w żadnej prawie porze roku nie można się inaczej dostać, jak na czółnie. Mieszkańcy żyją w zupełnem odosobnieniu od reszty kraju.» Skarbnik piński, Danejkowicz, więc mieszkał także w stronach pińskich i w Kodniu chyba tylko bywał gościem.

We wrześniu jeszcze koadjutor upominał się u kanclerza o nowy podarunek Swady. Posyłał list referendarza X. Załuskiego z jakąś prożbą i prosił o zwrot listu tego «a jeszcze bardziej, dodawał, o trzy egzemplarze Swady polskiej» deklarując, że odtąd przypomnę sobie być politycznym i dyskretnym, a zatem nie będę się więcej naprzykrzał o te księgi. Daj Boże tylko z długu teraz wynijść i mieć jeden dla siebie egzemplarz.» Fakta to wszystko jak rozrywano Swadę, jak dzieło to dwom naraz potrzebom dogadzało, podając czytelnikom swoim i materjał historyczny i wzory owczesnej wymowy.

Kanclerz zawsze z miłą chęcią spełniał takie prożby, bo i uczynnym był i pochlebiały jego próżności. 4 grudnia 1747 koadjutor pisze do niego:

«Dziękuję uniżenie WM. Panu za przysłane księgi, z których jeden egzemplarz obuch Swad bibliotece mojej zachowawszy, wypłacę się z uczynionej deklaracji różnym osobom, oraz przepraszam, że o onę importunis praecibus (natrętnie) mogłem się naprzykrzyć WMP. Dobrodz.»

Zdaje się, że kanclerz wtedy więcej przysłał niż trzy egzemplarze koadjutorowi. Obiecywał więcej, bo w liście koadjutora z dnia 9 grudnia czytamy:

«Za deklarowane egzemplarze Swady dziękuję jak najuniżeniej. Gdy się WMP. zbliżysz do Litwy (tj. do Kodnia, bo wtenczas kanclerz bawił w dobrach swoich czarnobylskich na Woły-

---

Na zakończenie: przyjęcie włościan *biorących udział w pochodach* w ogrodzie ks. Karmelitów — oświetlenie ogrodu, obraz z żywych osob i przeźrocza.

* * *

Ponieważ wzmianka nasza o trzęsieniach ziemi w Polsce tak się podobała, iż ją wszystkie pisma przedrukowały, dajemy im nowy do zapełnienia szpalt materjał z Pamiętnika hist. polit. (tom IV Grudzień 1786 r.):

„Polska doznawała znowu w tym miesiącu trzęsienia ziemi, ktore wiele okolic nabawiło nie małej trwogi. Zdaje się ile z nagłych dotąd doniesień wnosić można, że krakowska okolica była jego centrum, gdyż tam było najmocniejsze i największe po sobie zostawiło ślady. W samym Krakowie niektóre się kamienice porysowały, z jednej wazon na wierzchu stojący spadł, na drugiej tak się pochylał, iż go zdjąć musiano. Kościół Augustynów na Kazimierzu zrysował, się w sklepieniu bliskim wielkiego ołtarza, iż go zamknąć musiano. Podobnież w Secygniowie postrzeżono w kominach i ścianach wiele rys, których przedtem nie było. Nawet w Krakowie, Pińczowie, Secygniowie pomniejsze dzwonki tak się chwiały, iż dzwoniły same. Dzięki Bogu! że i teraz fenomen ten straszliwy nie pociągnął za sobą okropnych skutków. Jednakie trzęsienie to ostatnie, które przypadło 3 Gruduiu i 27 Lutego w roku bieżącym. Dalej ono się także rozszerzyło niż poprzedzające, gdyż się dało czuć od Tarnowa aż do Piotrkowa. To jest godne uwagi, że te trzęsienia ziemi w Polsce coraz się częściej zwykły przytrafiać, tak dalece, że jeżeli natura prawdziwie od lat kilku w jakimsiś krytycznym stanie zostająca nie odmieni w tym biegu swego, tedy znowuby nam się i to niedługo obawiać trzeba fenomenu tego.“

Tyle „Pamiętnik.“

niu) nie omieszkam obiecaną łaskę onemu przypomnieć i należyty adres obmyśleć, za którem te książki tak mnie dojdą, jak przeszłe przez jp. Bułharyna wyprawione do rąk moich pervenerunt.»

Wszystkie te wypisy z listów X. koadjutora stanowią najwyraźniejszy dowód:

1) że Danejkowicz żył w roku 1745 nie 1684, że będąc sekretarzem królewskim t. j. nosząc tytuł, który go zdobił tylko, a który wyrobił mu zapewne kanclerz Sapieha, był właściwe sekretarzem i domownikiem kanclerza, że dzierżawił u koadjutora włość bezdzieżską w pińskich stronach, że sam w ziemstwie pińskiem piastował urząd skarbnika;

2) że kanclerz Sapieha był rzeczywistym autorem, czyli właściwie kompilatorem dzieła w każdym razie ważnego dla literatury historycznej, bo jest zbiorem spółczesnych materjałów, z których niejeden zapewne przechował się tylko w Swadzie.

Z drugiej strony płynie przekonanie, że Swada z r. 1745 nie jest bynajmniej przedrukiem Swady z r. 1684, ale nową zupełnie księgą, a dosyć spojrzeć na samą jej treść, na tytuły materjałów, na podpisy osób, które do niej dostarczają materjału, aby się o tem przekonać.

Do tego nie spotkaliśmy się nigdzie ze Swadą z r. 1684, mamy o tem wydaniu jedynie wiadomość z Bentkowskiego. Nie znał jej i Łukaszewicz, bo z Bentkowskiego tylko nagi fakt przywodzi, że była Swada jakaś z r. 1684. Czy nie będzie więc tutaj jakie nieporozumienie spowodowane przez Bentkowskiego? Może znał jaką Swadę z r. 1684, może nawet z takim samym tytułem, jak ta późniejsza z r. 1745. Może mylnie położył na niej nazwisko Ostrowskiego — Danejkowicza, który żył znacznie później. W każdym razie nieostrożność Bentkowskiego łapiemy i tak na gorącym uczynku. Pisze, że Swada z r. 1745 jest «przedrukowaną» ze Swady z r. 1684. Że przedrukowaną nie jest, to widzieliśmy. Na tytule Swady Sapieżyńskiej niema też najmniejszej wzmianki, że to przedruk, lub drugie wydanie. Tutaj więc przynajmniej grubo pomylił się Bentkowski.

Dixi et salvavi animam meam.

Dnia 4 Marca 1869.

Juljan Bartoszewicz.

TRZY CARY [1])

wiersz

JULJUSZA SŁOWACKIEGO.

„Smierć co trzynaście lat stała koło mnie
Poszła i wbiegła do carskiej komnaty,
Car ją jak waryat przyjął nieprzytomnie
I oddał ducha przy strzale harmaty,
Który gromowi Bożemu podobny,
Poszedł na Moskwę jako dzwon żałobny.

* * *

Moskwa w powietrze blade zasłuchana,
W czepcach złocistych jak matuszka stara,
Słysząc to, rzekła: „Albo śmiech szatana
Albo też pękło czarne serce cara."
I cała wyszła [2]) na zielone błonia
Czekać na jeźdźca pierwszego i konia.

* * *

Pierwszy koń leciał... a był jako smoła,
I cały czarny jeździec na nim siedział,
Przez lud przeleciał i wpadł do kościoła,
Przez lud przeleciał — słowa nie powiedział.
A kiedy kościół odemknięto z trwogą
W tej ciemnej ławrze nie było nikogo.

* * *

Drugi przeleciał, lecz resztkami włosa
I chustką krwawą *się krył przed narodem* [3]),
Jak człowiek, który niema ust i nosa
I twarz ma całą zgniłą jednym wrzodem.
Ten, jako zwykle car czynić przywyknął,
Wbiegł *w zamek* [4]), usiadł na tronie i zniknął.

* * *

Trzeci przeleciał, ale był zdaleka
Widny ludowi, *że był jak ruina,*
Która ma okno tam [1]), gdzie u człowieka
Serce się mieści i szyja się wcina.
Ten nie doleciał, bo nań wpadły kruki
I rozerwały przed ludem na sztuki.

* * *

Wtenczas lud krzyknął: to nasze *trzy cary*
Które w człowieku teraz jednym były,
Najpierwszy to duch i proch i car *wiary*,
A drugi to proch i duch i car *siły*,
A trzeci od tych rozerwany ptaków
To *car kat*... który był królem Polaków.

[1]) Niniejszy wiersz Słowackiego wyjąłem z jego raptularza, znajdującego się w bibliotece Ossolińskich (pod. l. inw. rps. 1792 w czerwonej książeczce). Czas na pisanie jego nie jest podany, ale jak się domyślam, na podstawie znajomości wewnętrznych i zewnętrznych cech autografu, należy go odnieść do ostatnich lat życia poety, ściśle mówiąc między lata 1843—1847. Tytuł „Trzy cary" sam dodałem, nasuwa on się każdemu po przeczytaniu ostatniej zwrotki wiersza, odnoszącego się do trzech ostatnich cesarzów rosyjskich: Pawła, Aleksandra i Mikołaja. H. B.

[2]) Poprawiłem słowo „wyższa," która tu nie daje żadnej myśli.

[3]) Zamiast uwydatnionych słów były następujące przekreślone: „zakrył twarz przed ludem."

[4]) Uwydatnione słowo jest bardzo wątpliwe.

[5]) Pierwotnie były, zamiast uwydatnionych w tekscie słów, następujące wyrazy przemazane przez autora: „że był kostką ciała ‖ Jako ruina która..."

Literacko-artystyczne mięszaniny z Czech.

III.

Znakomity skrzypek polski Stanisław Barcewicz, bawił w maju u nas w Czechach i wystąpił w naszej muzycznej metropolji, Pradze złotej, trzy razy: w sali konwiktu we własnym koncercie i następnie dwukrotnie w nowym czeskim teatrze letnim. Słyszeliśmy wykonane przez niego oprócz mniejszych utworzonych sztuk skrzypcowych, trzy wielkie koncerty, mianowicie Wieniawskiego, Vieuxtempsa i Brucha, utwory wymagające dla dobrego przedstawienia sił pierwszorzędnych. Takową siłą jest Stanisław Barcewicz, *mistrz* swojego instrumentu. Mistrzowska gra pana Barcewicza podobała się bardzo nietylko publiczności czeskiej, ale i krytyce, która znakomitego artystę uwielbiała. Pan Barcewicz zaproszony przez niektóre miasta czeskie, dawał koncerta także w Taborze a. j. I my Czesi z gry pana Barcewicza bardzo dumni być możemy, gdyż nauczycielami tego znakomitego skrzypka polskiego, byli także czesi Laub i Hrumaly. Najnowszy zeszyt «Słowiańskiego sborniku» przynosi bardzo piękny artykuł: *Kroje w Polsce*, kartka z dziejów kulturnych przez Józefa Łepkowskiego, profesora uniwersytetu Jagiellońskiego, dalej przekład «*Ostatnich pieśni*» Konopnickiej, dokonany przez Eliszkę Krasnohorską, znaną znako-

mitą tłómaczkę polskiego narodowego eposu «*Pana Tadeusza.*» W tymże «Sborniku» znajdujemy również illustracje Grotgerowej «Slawji,» dalej referat o *Ognisku*, książce zbiorowej wydanej dla uczczenia 25 letniej pracy T. T. Jeża napisany przez redaktora, a nakoniec «*Dunajské dojmy*, nekolik z denniku vytrzenych listu od Edw. Jelinka» itd.

Tom drugi Słowiańskiej biblioteki, zawiera Orzeszkowej piękną nowelkę *Nieróżowa sielanka* w dobrem tłomaczeniu F. A. Hory. Edward Jelinek przysłał uczonemu towarzystwa w Białogrodzie (w Serbji) bibliograję wszystkich prac literackich dotyczących południowych Sławian w literaturze czeskiej. Uczone towarzystwo wyda pracę tą w najnowszej swej publikacji. Ten sam nasz sla wista otrzymał od wdowy po ś. p. W. A. Maciejowskim *kilka set* korespondencyj, napisanych przez jej męża w czasie naszego przebudzenia narodowego. Jest tu bardzo zajmujący zbiór korespondencyj Palackiego, Szafarzika, Hanki (pisanych po polsku), Kolara, Szembery itd. Listy mają wielką wartość literacko-historyczną. Oprócz tego są tu także korespondencje innosłowiańskich uczonych, mianowicie serbskich i rosyjskich, z ktorymi był ś. p. Maciejowski w ciągłym literackim stosunku. Nadzwyczaj zajmujące są także koncepta listów pisanych przed 40 laty przez Maciejowskiego do Pogodina. Bogatą jest także korespondencja niemieckich slawistów. Część korespondencji tej będzie wydrukowaną w *Czasopiśmie Musea*, część ściśle słowiańska w *Slowanském sborniku. Sebrane spisy Jos. Ig. Kraszewskiego* będą wychodzić w Pradze z początkiem września t. r. w miesięcznych zeszytach. *Biały murzyn*, powieść Michała Bałuckiego, ktorą wydała w czeskiem tłomaczeniu (Polabskiego i Fricza) *Ceska Politykа*, wychodzący codziennie (numer za 2 ct.) w Pradze organ, jest zupełnie wyczerpany. Najnowsza powieść Bałuckiego «250.000» została przełożoną na język czeski. W ostatnich dniach ukazały się jeszcze następujące przekłady z polskiego w czasopismach naszych: *Kuchyne pod schody*, *Chata za wsi*, *Mestanska svatba* (w Pokroku i Moravské Orlici) wszystkie przez Bałuckiego w tłomaczeniu A. I. Kroupy, *Nowe poezje Adama Asnyka* (Freska pompejska, Memnon, Vecne to też) w tłom. Fr. V. Kvapila (w Svetoziru). *Teresa* nowella Sarneckiego w tłom. Polabskiego (w Pokroku) Komedja *Gęsi i gąski* Bałuckiego została wydaną w czeskim przekładzie w V. zeszycie «Vybranych her divadelnich ochotniku» (nakładca J. R. Vilimesz w Pradze). Teatr Narodowy czeski ma być otwarty we wrześniu t. r. koło 28go.

Po . . . ky

AMATOR.

Przez Leona Gozlana.

Któż nie znał kawalera Hektora Loisel de Dardennes i któż nie zapomniał już o nim, chociaż zaledwie 50 lat mija jak opuścił swoją doczesną lepiankę, to jest wyraźniej mówiąc, swój szlafrok z mory japońskiej, żeby go na śnieżne skrzydła błogosławionych zamienić. Na szlafroku owym rozgałęziały się ze wszech stron, szeroko, sztuką wschodnich tkaczy wyrobione niebieskie tulipany, zakończone czerwonemi smoczemi ogonami i niebieskie głowy smoków czerwonemi tulipanami zakończone. Kiedy się nieboszczyk kawaler przechadzał po swoim tarasie a wiatr był, to wyglądał wówczas jak parawan chiński, który ma ulecieć w górę. Oddał ducha Bogu w tym samym szlafroku, a liczył wówczas rok życia ośmdziesiąty.

Będąc bogatym potomkiem szlachetnej rodziny, nic mu nie przeszkadzało wejść w ślady przodków, którzy byli po największej części członkami Tuluskiego parlamentu; jednakże ograniczył się tylko na dochodach z dóbr swoich. Inne jeszcze powody skłoniły go do stronienia od świata. Jąkał się, nosił głowę dziwnie przekrzywioną i był napadany jakiemś nerwowem drżeniem, ktore zwłaszcza w młodości wielce go trapiło. Jednakowoż pan Loisel de Dardennes byłby może nakoniec ustąpił życzeniom swojej rodziny, która była przekonaną, iż sprawiedliwość ulotni się z tej ziemi, jeżeli jeden z Dardennów nie będzie jej wymierzał w parlamencie Tuluzkim, byłby może przywdział poważną suknię sędziów, gdyby nie skłonność jego do starożytności. Pewnego razu widząc niekształtny kadłub, szczątek jakiegoś posągu greckiego w ogrodzie swego ojca wykrzyknął z silną wolą. «Nie, nigdy nie będę członkiem parlamentu.» I stało się. Ten kadłub grecki stał się dla niego zasadą, według której życiem swojem rozporządził.

Ze śmiercią ojca odziedziczył on zbiór obrazów, który stał się jądrem jego galerji, mającej kiedyś jedno z najświetniejszych pomiędzy zbiorami europejskiemi tego rodzaju zająć miejsce. Objawiwszy niewzruszone postanowienie nie wejścia do parlamentu, ściągnął tem na siebie nienawiść wszystkich krewnych, tak bliskich jak i dalekich, zerwali oni z nim wszystkie stosunki oznaczając go pomiędzy sobą pogardliwem mianem: *handlarza starzyzny*. Był on bowiem nie tyle nawet znawcą, ile amatorem starożytności, co nie dozwoliło jego gustowi rozwinąć się i wykształcić.

Zanim puścimy się wraz z nim na to wielkie morze zasiane szczątkami biednych zatopionych antykwarjuszów, nie będzie od rzeczy odsłonić jeszcze jedną stronę charakteru naszego bohatera.

Ojciec jego, kiedy już czuł zbliżającą się śmierć, kazał przywołać do siebie syna i rzekł: «Dardennes!»

— Co rozkażesz Ojcze!

— Dardennes! nakazuję ci zachowywać w poszanowaniu i nie zbywać pod żadnym pozorem dwoch moich legatów: mój zamek w Dardennes i moją bibliotekę. Zamek Dardennes jest dla nas starą pamiątką rodzinną; bibioteka zaś źródłem, z którego czerpałem wykształcenie, jakie mi później posłużyło do nabycia niejakiej wziętości w parlamencie. Przyrzecz mi, że nigdy nie sprzedasz ani mojego zamku, ani biblioteki. Jest to ostatnie życzenie twojego umierającego ojca.

I starzec oddał ducha Bogu, zaufany w przyrzeczeniu swojego syna.

Zaledwie oczy ojca zamknęły się na wieki, Dardennes syn, zrzucił z siebie swój tulipanowo-smoczy szlafrok i zacierając ręce odezwał się w te słowa:

— Ponieważ nikomu zdawać teraz sprawy nie winienem ani z moich czynności, ani z mojego majątku, muszę skompletować sobie mój tuzin obrazów flamandzkich i dlatego trzeba pomyśleć jak naspieszniej o podróży do Holandji. Jedynem bowiem lekarstwem na taką boleść jak moja, po stracie jaką poniosłem, jest zmiana miejsca i obrazki flamandzkie.

Więc żeby skompletować cały tuzin, miał bowiem tylko dotąd 8 obrazków szkoły flamandzkiej, (która najpierwsze w sercu jego zajmowała miejsce) kawaler Dardennes kazawszy wystawić przepyszny marmurowy pomnik na grobie ojca, zaczął się wybierać do Amsterdamu, stolicy ojczyzny Bakerów, Bambochów, Berghemów, Coxciejów, Hoogów i wszystkich nieśmiertelnych genjuszów zrozumianych i kochanych w każdym narodzie, i szczęśliwszych w tym względzie od nieszczęśliwyyh poetow, co lubo tak jak oni muszą się stać ofiarą śmierci, wystawieni są oprócz tego jeszcze na pastwę tłomaczom, co można nazwać śmiercią w śmierci.

Jednak zanim się udał w podróż zamierzoną, jeden z jego stryjów wziął go na stronę i tak mówił do niego:

— Kawalerze, czy nie sądzisz, że stosownem jest, zanim udasz się w tak daleką podróż, połączyć się związkami małżeńskiemi z panną Sainthe Marthe de Brancey. W podróży możesz umrzeć. Cóżby się stało z twoim majątkiem? Panna de Brancey jest młoda, piękna, a przytem w pokrewieństwie z nami.

— Kto to jest ta panna de Brancey? zapytał kawaler.

— Wszakem ci powiedział, że to nasza krewna.

— A... krewna?..

— Tak...

— Czy... flamandka?..

— Jakto flamandka? urodzona w Walencji w Delfinacie.

— Jeżeli nie jest flamandką... to niepodobna...

— Ależ ona ma wiele miłych przymiotów, rozsądna, gospodarna, oszczędna.

— A do jakiej szkoły należy?

I żadnym sposobem stryj kawalera nie mógł mu wytłumaczyć, że tu rzecz szła o kobietę a nie o obraz.

Amator był nieuleczonym w tym względzie.

Było to przy końcu roku 1720, kiedy brama zamku Dardennes zawarła się za ostatnim potomkiem tej rodziny, udającym się w świat, gdzie go wrodzone wzywało powołanie. Miał on wówczas około 22 lat wieku. Jechał przeto do Marsylji, w porcie którego to miasta spodziewał się znaleźć jakiś okręt wyruszający w drogę, co by go do Antwerpji mógł zawieść.

Przejeżdżał przez Aix.

Kiedy przejeżdżał bramę tego miasta, oficer okrętowy zapytał podług zwyczaju:

— Gdzie pan jedzie?

— Do Marsylji.

— Pan zapewne jest doktorem?

— Co znaczy to pytanie?

— To pan nie jest doktorem?

— Ale cóż panu zależy na tem, żeby się dowiedzieć czem ja jestem.

— Pan chyba jest aptekarzem?

— Nie jestem panie, ani doktorem, ani aptekarzem.

— Więc czemże pan jesteś?

— Jestem obywatelem Francji żyjącym z własnych dochodów, a przytem amatorem obrazów flamandzkich, odpowiedział zniecierpliwiony Dardennes.

Na to oficer zamykając z największem zadziwieniem drzwiczki powozu kawalera, rzekł do niego:

— Niech pan jedzie, kiedy się to panu tak podoba.

«Mam dwóch Keyserów mówił sam do siebie kawaler jadąc w dalszą drogę, jednego Lairessa, jednego Schalkena, jeżeli mi się uda pochwycić ze dwóch Sneydersów, będzie to nie lada sztuka. Muszę mieć koniecznie dwóch Sneydersów, chcę mieć psów i «spiżarnią» tego wielkiego malarza. Ze «spiżarnią» będzie bieda.

Na wpół drogi z Aix do Marsylji, znowu jakiś oficer zatrzymał powóz i zapytał podróżnika:

— Gdzie pan jedzie?

— Do Marsylji.

— Do Marsylji?

— Naturalnie że tak, przecież nie jestem na drodze do Stockholmu?

— Czy pan nie jest doktorem?

— Nie panie, wcale nie jestem doktorem.

— To chyba aptekarzem?

— Tem bardziej nie. Ale to żarty......

— Może botanistą.

— Ani botanistą, ale cóż u licha mości panie...

— W takim razie.....

— W takim razie, zrobisz mi pan przysługę, jeżeli mnie pan dłużej nie będziesz zatrzymywał. Chcę kompletować mój zbiór obrazów flamandzkich.

— Niech pan jedzie z Bogiem, rzekł oficer uśmiechając się.

— Pocztyljonie! do Marsylji.

«Ograniczam wielce moją ambicją w tym względzie, mówił dalej do siebie Dardennes i nikt zapewne życzeń moich przesadzonemi nie znajdzie, kto się dowie, że chcę tylko skompletować cały tuzin moich flamandzkich obrazów, tuzin tylko, ale muszą być wszystkie prześliczne, zachwycające, doskonałe. Jak by to było jednak pięknie, żebym ich posiadał dwadzieścia jak kardynał Temporani w Avignonie, albo dwadzieścia cztery, cztery więcej niżli kardynał Temporani, ale to by kosztowało strasznie wiele pieniędzy.»

Miał już wjeżdżać do Marsylji, kiedy trzeci jakiś oficer zabiegł mu drogę wołając:

— Gdzież to pan jedzie?

— Wszak pan widzisz dobrze; pocóż to pytanie?

— Jakto pocóż to pytanie? gdzież pan jedzie?

— Bardzo naturalnie, że do Marsylji.

— Pan więc jest doktorem?

— Cóż u licha, czyście się panowie wszyscy zmówili czy co?

— Ja się pytam czy pan jest doktorem?

— Nie.

— Aptekarzem?

— Nie, nie i nie.

— To chyba pan jesteś przedsiębiorcą nagrobków.

— Panie oficerze, żeby nie to, że mi tak pilno jechać do Hollandji po obrazki flamandzkie, prosiłbym pana o zdanie mi sprawy ze słów swoich... Ale Sneyders, ale Bamboche, ale Mierys, są dla mnie daleko większej wagi niż pojedynek na szpady. Proszę więc pana puścić mię do miasta.

— Nie mam zakazu wpuszczania warjatów do Marsylji, niechże sobie pan jedzie, ale jeżeli pan będziesz jechał z powrotem, proszę mi się pokłonić po drodze.

Kawaler Dardennes wjechał więc do Marsylji.

— Co znaczy ten tłum—tak tak licznie zgromadzony? zapytał wychylając głowę z drzwiczek powozu jakiegoś przechodzącego, który zasłaniał sobie twarz chustką nakropioną octem.

— To pogrzeb.

— Nieboszczyk musiał mieć zapewne wielu przyjaciół, mówił dalej kawaler, bo orszak pogrzebowy nader się licznym wydaje. Czy to nie był przypadkiem jaki bogaty amator obrazów? Nie wiesz pan jego nazwiska?

— Nazywa się tysiąc pięćset.

— Jakto tysiąc pięćset?

— Czyż pan nie widzisz, że to jest pogrzeb tysiąca pięciuset zarażonych, trzystu więcej niż wczoraj.

— Więc zaraza jest w Marsylji? zapytał kawaler.

— A jest, i do tego stopnia, że pan sam już musisz być zarażony, odpowiedział przechodzień patrząc nań zyzowato.

«Nie wiedziałem nic o tem, pomruknął Dardennes, nic mi o tem nie mówiono, prawda i to, że przez cały rok nie wyjeżdżałem z mojego zamku, zanim przywiodłem do skutku zamiar podróży do Holandji. To więc dlatego po trzy razy zapytywano mnie w drodze czy nie jestem doktorem. A..... więc zaraza jest u was?

— Tak panie, od miesiąca blisko.

— Musiało tu umrzeć wielu ludzi?

— Przeszło dwadzieścia tysięcy osób.

— Czybyś pan mi nie mógł powiedzieć, czy pomiędzy tymi dwudziestu tysiącami nie umarł jaki właściciel galerji obrazów flamandzkich. Nie idzie mi ani o wielkość ani o cenę, byleby były czysto flamandzkie.

Ale zapytany nie mógł mu odpowiedzieć, bo w tejże chwili padł na ziemię tknięty zarazą.

«Głupi naród, bez żadnego zamiłowania do sztuki, rzekł sam do siebie kawaler jadąc dalej.

Przez stosy umarłych i umierających przybył wreszcie do portu, w ktorym stało kilka statków smutnych i rozbrojonych, bez żadnej osady.

Musiał przyrzec bardzo wielką sumę pieniędzy kapitanowi statku przewozowego hollenderskiego, który się znajdował w porcie za odwiezienie go do Antwerpji. Robił on to nie dla ucieknięcia przed zarazą, ale dla prędszego przybycia do Hollanji.

Kawaler Dardennes byłby tysiąc razy wolał udać się lądem do Hollandji, nawet chociażby nie wiedział o niebezpieczeństwie, ktore go czekało w przejeździe przez Marsylją, ale chciał koniecznie widzieć morze. Zobaczył je i długo nawet musiał na nie patrzeć. Podróż jego trwała całe dwa miesiące, a czas był nieznośny. Nareszcie o mało co nie zatonąwszy w zatoce Walencyjskiej po wytrzymaniu straszliwej kilkudniowej burzy, wylądował w Antwerpji.

W godzinę potem składał dziękczynne modły Rubensowi.

Wychodząc z katedry, w ktorej poświęcił trzy długie godziny rozpływaniu się nad «zdjęciem z krzyża,» rycerz nasz zapytał pierwszej osoby jaka mu się nadarzyła, a osobą tą była kobieta:

— Pani! chciałbym nabyć jakiego Mierysa.

— To nie możesz pan lepiej udać się jak do mnie.

— Istotnie? a dlaczegóż?

— Bo ja sama jestem Mieryską, jestem prawnuczką Mierysa.

— Bardzo mi to miło, ale ja potrzebuję obrazu Mierysa, a nie jego prawnuczki... choć przyznaję jej wszelką plastyczną wartość, rzekł kawaler de Dardennes.

— Mam u siebie najpiękniejszych Mierysów, jacy tylko są. Chciej pan udać się za mną..

I kawaler Dardennes podał rękę prawnuczce Mierysa.

Pani Koelman z Mierysów zaprowadziła kawalera Loisela de Dardennes na starożytną ulicę kuszników, zabudowaną domami z wieżyczkami, z których niejedne aż 14go wieku sięgały. Na widok tych szczytów, spiczastych, trójgraniastych, z napisem żelaznych, zardzewiałych głosek, na ich tle zakopconem umieszczonym, tych schodków, które krużgankiem aż do środka ulicy się przeciągały; tych małych okienek, w których promienie słońca przez różnokolorowe szkła przyświecały, na zapach wędzonego śledzia, który rozchodził się wszędzie dopełniając ogolną harmonję, nasz bohater wpadł w oczarowanie, w zapał, który niepodobieństwo jest opisać.

To wrażenie, które Antwerpja na kawalerze sprawiła, bardzo łatwo się pojmuje i nie potrzebuje fanatyzmem jego być tłumaczone. Antwerpja była wówczas we wnętrzach domów taką samą, jak w XV. albo XVI. wieku i takąż samą po dziś dzień pozostała. Można tam było widzieć tak jak i po dziś dzień jeszsze, stare dębowe szafy, rzeźbione kufry z drzewa orzechowego z wyrobionemi w węglach snycerską robotą apostołami i pięknemi aniołkami uśmiechającemi się do patrzącego, aniołkami flamandzkiemi, które utyły na piwie i na mięsie.

Chociaż każdy flamandczyk sądzi mieć przyrodzony talent do malarstwa, bo każdy z nich prawie ma nos krzywy i brodawki na prawym policzku, chociaż każdy z nich sądzi, że posiada Teniersa, którego nazywają *Tenirsem*, bo ma fajkę w ustach i szynkę w kominie, pani Koelman jednak, owa Antwerpianka, którą pierwszą spotkał nasz kawaler, była prawdziwą prawnuczką Mierysa i posiadała nawet dwa Mierysa obrazy: jeden *dziecko puszczające bańki mydlane w oknie* i drugi, którego przedmiotu na nieszczęście biograf kawalera nam nie zachował. A był on może jeszcze piękniejszy od pierwszego.

— Włóż pan okulary, rzekła pani Koelman z Mierysów.

— Nie noszę okularów.

— Jakto? pan jesteś amatorem obrazów i nie nosisz pan okularów?

— Nie pani, man wzrok bardzo dobry.

— Ale na podziwianie obrazów flamandzkich nie dość jest własnych oczów.

— Więc na przyszłość.....

— Niechaj pan zanim się w okulary zaopatrzy, weźmie tymczasem lornetkę, a teraz niech pan spojrzy i upadnie na kolana.

Kawaler przypatrywał się obrazom.

— Ach, jakież to piękne, mowił starając się szyję wyprostować, jakie to piękne, bardzo piękne, niezmiernie piękne.

— To jest arcydzieło, nieprawdaż?

— Tak pani.

— Perła, dyament, prawdziwy Mierys.

— Wiele pani chcesz za niego?

— Odmówiłam go księciu, który chciał go kupić.

— Musiał zapewne znajdować, że za drogi.

— Nie panie, ale nie dość ukazywał dlań uwielbienia.

— Ależ ja?..

— A pan, to co innego.

— Więc pani mi go sprzedasz?.

— Byłoby okrucieństwem dla mnie rozłączyć się z nim zdawałoby mi się, że sprzedaję własnego pradziadka. Zresztą 10.000 francuzkich liwrów.

— Biorę rzekł kawaler, rzecz skończona.

— Pan mi duszę wydzierasz.

— Zapłacę pani samem złotem.

—Niechże pan sobie prędko zabiera obraz, żeby skrócić moją boleść.

— Zabieram go do mojego hotelu. Oto 10.000 liwrów złotem.

Kawaler wyliczył pieniądze, odważając każdą sztukę. Pani przerachowała je uważnie; otóż przedmiot do nowego flamandzkiego obrazka.

— Musiałem się pod szczęśliwą gwiazdą urodzić, mówił sam do siebie Dardennes, powracając do domu. Zaledwie przybyłem do Antwerpji, nadarzają mi się zaraz dwa przepyszne obrazy Mierysa.

I nie jadł nawet obiadu, tak mu apetyt odjęło.

Daremnie zastawiono przed nim przepyszne ostendzkie ostrygi, najlepsze raki morskie, wyborową pieczeń wołową po holendersku przyrządzoną; jego oczy, umysł, dusza, wszystko w nim było Mierysem zajęte jedynie, tem *dzieckiem puszczającem bańki mydła w oknie*, bo z dwóch obrazów ten sobie wybrał.

Po obiedzie udał się z rozradowanem sercem do zgromadzenia kuszników, gdzie uczęszczało całe wyższe antwerpskie męzkie towarzystwo, wszyscy wielcy znawcy obrazów, z piórem czerwonem u kastorowego kapelusza, z wypomadowanemi wąsami, z wysokiemi korkami od butów, typy Terburga uosobistnione. Ich ojcowie musieli niewątpliwie służyć za modele Emmelingowi i Vandykowi. Ponieważ kawaler był szlachcicem, a oni także, zapoznanie było nader łatwem. W jednej chwili rozmowa zwróciła się na przedmiot dla każdego z nich najważniejszy: obrazy flamandzkie.

— Błogosławię szlachetne miasto wasze, odezwał się Dardennes, nabyłem już tu Mierysa, przepysznego Mierysa.

Na te słowa zgromadziło się kółko około kawalera.

— Pan masz Mierysa, pan?

— Co on mówi?

— On mówi, że kupił Mierysa.

— Pan utrzymuje.....

— Mierysa!

— Moi panowie, czyż mi nie wolno mieć Mierysa? zapytał kawaler trochę zdziwiony tem ogólnem zdziwieniem.

— Nie mówimy tego, ale...

— Ale ja go kupiłem, dałem za niego 10.000 liwrów francuzką monetą.

— Bo to, odpowiedział ironicznie jeden członek zgromadzenia łacinników w Antwerpji znajduje się jeden tylko człowiek, pan burmistrz Neef, który posiada wszystkich Mierysów, a on by panu żadnego z nich nie odstąpił za mniej jak 15.000 liwrów.

— Cóż ja więc kupiłem, proszę panów?

— Jakiego Wenitza za Mierysa.

— Moi panowie, przecież i ja znam się trochę na szkole flamandzkiej i nie wezmę Wenitza za Mierysa, chociaż przyznaję, że wielce cenię waszego Ottona Venius.

Wszyscy członkowie zgromadzenia kuszników spojrzeli po sobie jak gdyby chcieli mówić «jednakowoż on się nie źle zna na rzeczy.»

Kawaler mówi dalej:

— Cóż więc kupiłem? co takiego mi sprzedano?

— Zkądże my możemy wiedzieć..... ale pan nie masz Mierysa.

— Ja nie mam Mierysa!.... poczekajcie......

I na te słowa kawaler pobiegł jak strzała do swego hotelu i wkrotce powrócił z przedmiotem sporu pod pachą.

— Oto jest, rzekł, cóż panowie powiecie, czyż to nie jest Mierys? prawdziwy Mierys? niezaprzeczony Mierys? Czyż nie wart z zamkniętemi oczami 10.000 liwrów.

Znawca który zaprzeczał kawalerowi prawa posiadania Mierysa odpowiedział:

— Tak, to jest dobry pędzel!....

— Jeszcze by też?

— Wyborny rysunek.

— Niech no by kto zaprzeczył.

— Koniec końców jest obraz Mierysa.

— A — przyznajesz pan nareszcie.

— Wszyscy tu to samo przyznają.

I wszyscy członkowie zgromadzeni kuszników przyświadczyli kiwnięciem głowy.

— A więc odrzekł, tryumfując kawaler, widać że miałem słuszność, a z tego wypada żeście panowie się omylili. To jest Mierys, ja posiadam Mierysa, niech żyje Mierys!

— Tak panie, odpowiedział ów członek zgromadzenia, który pierwszy zabrał głos, tak, to jest Mierys; ale nie wart jest 10.000 liwrów, nawet połowy tego, bo chociaż to niezaprzeczenie Mierys, to jest jeszcze Mierys chudy, *Van Mierys chudy*.

— Jakto panie *Van Mierys chudy*? cóż to ma znaczyć?

— To ma się znaczyć, iż pan posiadasz tylko obraz *Van Mierysa garbatego*.

— *Van Mierysa garbatego*..... ale cóż to ma obchodzić kogo czy on był chudy czy garbaty? w każdym razie to jest zawsze Mierys... jakaż różnica między nimi?

— Ta różnica stanowi właśnie wszystko panie kawalerze. Obrazy *Van Mierysa garbatego* nie są wcale rzadkością, a nawet dość pospolite, kiedy tymczasem obrazy *Van Mierysa chudego*..... ach panie kawalerze! *Van Mierys chudy*..... zresztą jedynie tylko u burmistrza van Neef możesz pan obraz van Mierysa chudego napotkać.

W godzinę po tej straszliwej explikacji, kawaler Dardennes już nie był na zgromadzeniu kuszników, leżał on na łóżku w izdebce hotelu, w którym stanął i straszliwe mary roiły mu się po głowie. Widział we śnie tysiące *Van Miersów chudych* i tysiące *Van Miersów garbatych* dręczących go jak potępieńca. Jakiś strasznie chudy Mierys język na niego wywieszał, jakiś Mierys okropnie garbaty przekomarzał mu się palcami na nosie, a w uszach jego brzęczały tylko te słowa ciągle powtarzane: *chudy, garbaty, garbaty, chudy*.

Nazajutrz kawaler Dardennes przechodził się po salonach pana burmistrza Van Neef, jedynego posiadacza obrazów *Van Mierysa chudego*.

— Nie oszukano pana wcale, mówił do niego poważnie pan burmistrz, ja jedyny posiadam w mojej galerji prawdziwych Mierysów; oto z nich jeden.

— Ależ to jest znów także, rzekł kawaler: *młody chłopak puszczający w oknie mydlane bańki*, to samo co mój obraz.

— O zupełnie... panie kawalerze...

— Tenże sam pędzel panie burmistrzu,—więc różnica w czem?

— W czem? pan się pytasz? Pański obraz jest malowany przez Mierysa garbatego, a mój przez Mierysa chudego.

— Ale cóż to szkodzi, kiedy są oba przepysznie malowane.

— Tak.. ale różnica jest wielka.

Kawaler pognębiony spuścił głowę. Po chwili rzekł:

— Pan mi sprzedasz ten obraz.

— On nie jest do sprzedania.

— Przecież pan nie jesteś także potomkiem Mierysa, boć wszyscy w Antwerpji nie mogą być Mierysa potomkami.

— Nie sprzedaję moich obrazów, ale ten jednak ustąpiłbym z wielkim bólem serca za 16.000 liwrów francuzką monetą.

Nie można się targować z panem burmistrzem, pomyślał sobie kawaler, a zresztą: obraz Mierysa chudego.....

— Przyjmuję rzekł. «Oto zapłata» i napisał oblig na rzeczoną sumę. «Proszę przysłać z tem do mnie jutro a zlikwiduję.»

I pan Van Neef zdjął obraz z muru i oddał go kawalerowi.

Przybywszy do swojego hotelu na ulicy Kipdorp, kawaler powiesił Van Mierysa chudego przy Van Mierysie garbatym i znalazł, że rożnica wartości rzeczywistej tych dwóch obrazów, nie odpowiadała wartości nominalnej. Gdyby nie głos przeważny tego przesądu, który mu narzucono, byłby on może we własnem swojem sumieniu osądził, że obraz Van Mierysa garbatego, więcej wart od obrazu Van Mierysa chudego, ale nie śmiał mieć w tym względzie własnego zdania. Drugi kosztował go 6000 liwrów więcej i to dostatecznie przemawiało za nim.

Był więc kawaler szczęśliwy jak monarcha, jak monarcha ma się rozumieć, który posiada galerję obrazów flamandzkich.

W samo południe, kiedy pił czekoladę, wszedł do niego jakiś człowiek, dość nędzny z pozoru, ubiór jego wskazywał potrzebę zupełnego odnowienia i odlakierowania. Był to malarz. Wówczas jeszcze malarze nie nazywali się artystami, ale robili zato bardzo dobre obrazy.

— Panie rzekł, jestem malarzem.

— Tegoczesnym?

— Tak się zdaje przecież.

— Cóż pan chcesz odemnie?

— Dowiedziałem się na mieście, że pan nabywasz obrazy i przychodzę panu moje ofiarować do sprzedania. Gdyby zechciał przyjść do mojej pracowni......

— Nie warto tego zachodu panie.

I kawaler zaczął pić dalej swoją czekoladę.

— Jednak kiedy pan jesteś amatorem obrazów, a ja malarzem.....

— Malarzem tegoczesnym.

— Więc pan nie sądzisz, żebym mógł mieć talent?

— Nie mówię tego, ale ja skupuję tylko dawne obrazy.

Malarz uśmiechnął się.

— Ależ panie, mówił on dalej — i ja kiedyś będę dawnym, idzie tylko o to, żeby poczekać trochę. To przyjdzie samo z siebie, a zawsze zawcześnie. Tylko teraz zamiast zapłacić za mój obraz 20.000, liwrów tak jak byś pan za sto lat musiał to zrobić, możesz go pan odemnie za 200 liwrów kupić, bo obecnie potrzebuję żyć, a po mojej śmierci nie będę już niczego potrzebował.

— Bardzo to być może, ale to jest korzystne kupno, którego z żalem zmuszony jestem pozbawić się,—odpowiedział kawaler kłaniając się bardzo zimno młodemu malarzowi, który do głębi serca raniony został tem obojętnem przyjęciem.

A jednak mówił dalej malarz, w każdym razie winienem panu podziękowanie.

— Za cóż takiego? zapytał Dardennes.

— Za to, żeś pan mi nadarzył sposobność oglądania dwóch Mierysów, którzy są prawie tyle szacowani ile ten, który jest w największem zachowaniu u dworu.

Kawaler Dardennes uderzył w stół pięścią, aż się filiżanka wywróciła.

— Jak to pan mówisz *prawie tyle szacowani*. Czyliż istnieje jaki trzeci Mierys?

— Aż sześciu ich jest.

— Może to być?

— Pan posiadasz tylko dwóch Mierysów, mówił dalej malarz, kontent, że znalazł sposobność zemszczenia się: *Mierysa chudego* i *Mierysa garbatego*; trzeba jeszcze dodać do nich: *Mierysa małego, Mierysa van Mierysa, Mierysa wstrzemięźliwego i Mierysa pijaka.*

— Wielki Boże! a którenże z nich najlepszy?

A malarz na to:

— Na dworze najwięcej jest ceniony obecnie Mierys pijak, a pan go nie masz wcale.

— Czyliż kto tu posiada obrazy *Mierysa pijaka*? zapytał ze drżeniem kawaler.

— Sam tylko książe Oranji w całej Hollandji, posiada jedynego Mierysa pijaka, a łatwo pan pojmiesz, iż za żadne pieniądze nie zechce z tej ozdoby galerji swojej ogołocić.

Kawaler Dardennes słysząc to, westchnął i wzniósł oczy do nieba.

— Więc ci dwaj Mierysowie co mnie kosztowali 26.000 liwrów są podrobieni.

— Nie panie, ale w mniejszej już cenie teraz i dla takich którzy twory sztuki lubią na brzęczącą oceniać monetę, mniejszej są wartości, chociaż Bogiem a prawdą lepsi od wszystkich innych.

Kawaler tak poczerwieniał z rozpaczy, że wyglądał jak jaki portret Rubensa pierwszej maniery.

Malarz kłaniając się dodał jeszcze:

— «Żegnam pana; przyjemnie mi jest, chociaż jestem tylko nowożytnym malarzem, żem się mógł panu niektóremi informacjami co do mojej sztuki przysłużyć.

I malarz wyszedł, sądząc, że się srodze zemścił nad kawalerem. Ale czyż tak było w samej istocie? Nie. Bo istotnie wszystko to, na to się zdało tylko, iż kawaler Dardennes kupował wprawdzie jeszcze *Mierysów chudych* albo *Mierysów garbatych*, ale wszystkie obrazy, które odprzedawał lub zamieniał były podług jego twierdzenia pędzla *Mierysa pijaka*.

Widać już teraz w Dardennes'ie przebijający się gust do kramarstwa i mydlenia oczów. Musiał on koniecznie podpaść pod ogólne prawidła. Bo bezwarunkowo każdy amator obrazów, niech będzie miljonerem, jenerałem armji, ministrem, zawsze jednak na końcu musi zatonąć w tem nieszczęśliwem morzu kramarszczyzny.

Wielkie słowa sztuki, galerje arcytworów, namiętności do dzieł jenjuszu, trzeba brać tylko do połowy ich prawdziwego znaczenia, pod skórą amatora zawsze kramarz przebić się musi. Nie mówimy to dlatego, żebyśmy chcieli ganić namiętność amatorstwa, albo pogardzać nią, ale dla miłości prawdy tylko. I w dowód tego powiemy, że kramarz obrazów jest prawdziwym królem, powinien tylko umieć panować.

Pzez dwa lata. które kawaler przepędził we Flandrji i w Hollandji, zwiedzając Hagę i Amsterdam, Louwain i Bruges, Gandawę, staraniem jedynem jego było nabywanie Mierysów, tych bajecznych Mierysów, którzy mienili, przekształcali się, dwoili, mnożyli, jak skoro na którego z nich natrafić udało mu się. Kupił, a Bóg sam już wie po jakiej cenie, kilku *Francków starych* kilku *Quinten Matsysów*, dziesięciu *Piotrów Breughelów* tak pięknie wykończonych, że za posiadanie jednego z nich całą wieś możnaby oddać, trzech *Hans Jordaensów*, z których dwóch stało się potem ozdobą galerji drezdeńskiej, jednego *Michała Coxie*, tego niezrównanego malarza, który wcale prawie nie jest znany we Francji, może dlatego, że litera *x* tak antypatyczna francuzom wchodzi do jego nazwiska. Nie śmiejcie się i kramarska nieśmiertelność od takich nawet drobnostek zależeć może.

Nabył także obraz wystawiający trzech królów odwiedzających Chrystusa Pana przez *Jana Breughela* zwanego *Breughelem aksamitnym*, którego trzeba od innych *Breughelów* odróżnić, bo *Breughelów* tyle jest prawie co Mierysów, wieniec kwiatów przez *Daniela Seghersa*, który to obraz kosztował go 13.000 franków; kilku *Van Kesselów* przepysznie zakonserwowanych, kilku *Van Rhynów, van Essów, van den Boschów*, trzech *Wouwermansów*, pięć szkiców *Rubensa* i jeden mały obrazek *Rembrandta* za 20.000 franków. Kawaler Dardennes musiał nająć cały prawie okręt, żeby bez niebezpieczeństwa uszkodzenia pomieścić w nim obrazy, porcelany, rzeźby, wyroby ze szkła i kości słoniowej, w które się wzbogacił podczas trzech lat pobytu swego w Hollandji. Mówimy wzbogacił, ale wyraz ten trzeba wziąść tylko w znaczeniu sztuki a nie inaczej. Zamienił on złoto na płótno, płótna te wprawdzie były pokryte arcydziełami, ale moda, kaprys, albo wojna jaka, mogły te arcydzieła pozbawić wszelkiej wartości, że nie powiemy o innej pladze, która dotyka posiadaczy tych ziemskich cudów: cała gotówka jaka mu została się po ojcu została zamienioną na te twory sztuki, których większą część, jakeśmy powiedzieli, stanowiły obrazy. Kosztowało go to 400.000, co podług dzisiejszej wartości pieniędzy na 800.000 franków można liczyć.

Ale cóż za roskosz będzie dla niego, kiedy powróciwszy do siebie, ujrzy się w swoim zamku, otoczony najdroższemi malowidłami flamandzkiej szkoły, i opasany w około jak Chiny murem z porcelany. Szczęśliwy Dardennes. Cała jego ambicja ograniczała się kiedyś na posiadaniu dwudziestu czterech obrazów flamandzkich, a teraz będzie ich mógł dwieście swoim rywalom okazać. Cóż była w porównaniu do jego zbioru galerja kardynała Temporani, z którym zrównać się było kiedyś najdroższem jego życzeniem.

Nareszcie kawaler ujrzał swoją ziemię rodzinną. Wszyscy jego przyjaciele zbiegli się, żeby powinszować mu szczęśliwego powrotu do domu, ale pomiędzy niemi nie zjawił się ani jeden krewny, bo wszyscy go unikali, nazywając go kramarzem starzyzny.

Ponieważ w XVIII. wieku takie podróże artystyczne bardzo jeszcze były rzadkie, przy pierwszem pojawieniu się zasypał zaraz kawalera grad różnorodnych pytań o krajach, przez które przejeżdżał.

— Czy to prawda? pytał jeden, że w Hollandji dzwonnice wieżyc kościelnych są na równi z powierzchnią morza.

A kawaler odpowiadał:

— Zaledwie tylko trzech *Hans Jordaensów* mogłem dostać, ale jeden z nich jest *Piękna kucharka z Gandawy*, a drugi *Mała kupcowa ryb*. Wszakże to i tak wcale nie źle. Niechno kardynał Temporani pokaże wam takie same.

A inny ciekawie pytał się go:

— Czyliż pan przekonałeś się na własne oczy panie kawalerze, o tym sławionym porządku Hollendrów, którzy zamiatają swoje rzeki, a rynsztoki czyszczą szczotkami.

A kawaler odpowiadał:

— Udało mi się tylko jednego *Breughela aksamitnego* nabyć ale jeżeli się znacie na tem, to powiecie sami, że drugi taki egzemplarz jak mój trudno znaleźć. Proszę poszukać co podobnego w galerji kardynała Temporani.

— Ale czy prawda jest kawalerze...

Dokończenie nastąpi

PRZEGLĄD LITERACKI.

Stanisław Grudziński. Poezje. Warszawa 1883 in 8-vo str. 201. Cena 1 złr. 60 ct.

Stanisław Grudziński wydał już kilka zbiorków swoich poezyj. Rozpoczął Idealistą, poemacikiem dość słabym, choć niepozbawionym ładnych ustępów. Był to utwór młodzieńczej wyobraźni, młody poeta rwał się do lotu nieco zawcześnie. „Idealista“, jeżeli się nie mylimy, był płodem pióra 17-letniego młodzieńca. Dużo w nim zapału, rwania się na wyżyny, chęci zdobywania prawd ukrytych, a najwięcej serca. Potem wyszedł mały zbiorek jego poezyj w Krakowię p. t. Marzenia i piosnki. Drobne te utwory nosiły na sobie ślady przejęcia się Heinem i Mussetem. Zaraz następnie wyszedł w Krakowie zbiór drugi większy, zatytułowany: Poezje. Przebijała się już w nim indywidualność młodego poety, który zrywał z naśladownictwem i sam dla siebie właściwej szukał drogi. „Urwane akordy,“ wydane bezimiennie we Lwowie, były ostatnim błyskiem młodzieńczej twórczości, zamykały pierwszą epokę życia i pieśni młodego poety. Odznaczały się one niepospolitą siłą, tchnęły zapałem, żądzą walki w obronie prawd i zasad; poeta rzucał rękawicę i gotował się do boju. Nie zapomnimy wrażenia jakie wywołał w tym zbiorku wiersz: Nam nie wolno! Przedrukowało go kilka czasopism dla pięknej formy, szlachetnych myśli i siły słowa, z jaką rzadko dzisiejsza ckliwa, czułostkowa, bajroniczna lub sielankowa muza występuje.

Odtąd następuje zwrot w tworzeniu poety. Młodzieńczy zapał ustępuje miejsca refleksyi. Grudziński rzadziej potrąca w struny swej liry, a jeżeli to czyni, to słowa płyną spokojniej, ironja i nastrój humorystyczny znikają niepowrotnie, oburzenie na złe. dawniej gwałtowne i piorunujące, zamienia się w cichy smutek. W ciągu lat kilku poeta pracuje na polu dziennikarstwa, pisze prozą wdzięczne „powieści ukraińskie“ i powieści obyczajowe, pełne refleksji i tendencji. Od czasu do czasu napotykamy ulotny wierszyk, pełen bólu i żalu, ale i pełen wiary. Od r. 1876 wychodzi z pod jego pióra ładny poemacik „Dwie mogiły.“ Nareszcie po kilkoletniej przerwie poeta wystąpił z nowym zbiorem swoich poezyj. Są w nim utwory lat ostatnich, oraz kilka utworów dawniejszych. Dziwne ten zbiorek robi wrażenie, dziwnie odbija się od innych płodów dzisiejszej muzy. Niema w nim sarkazmu, niema oblekania w formę poezji prądów społecznych, niema udanych kwileń na tematy ludowe, sztucznego zachwytu i zapału, pozowania na natchnionego wieszcza, odkrywającego ludzkości nowe światy. Kto mówi:

Niech o mej pieśni za całą chwałę
Powiedzą,
Że lata nisko jak małe ptaszę
Nad miedzą,
Że cicha, słaba, wznieść się nie może
W niebiosy
I widzi całe nieba przestworze
W łzach rosy,
I że najmniejsza gwiazda srebrzysta
Jej gwiazdą,
A światem dla niej łąka ojczysta
I gniazdo —

ten zaprawdę nie pozuje na proroka i nie żąda upajającego dymu kadzideł. Skromność to rzadka w tych czasach. gdy lada pisklę woła: Otom ja, śpiewak natchniony!

I dobrze Grudzińskiemu z tą skromnością, dobrze mu z tem życzeniem, aby

Pieśń swą miłością wieczną
Napoić,
By mogła chłodzić ranę serdeczną
I goić.

Te słowa ostatnie mógł był poeta położyć jako motto do wydania swych poezyj. Z małym bowiem wyjątkiem każda pieśń jego jest napojona „miłością wieczną„ i każda chłodzi i goi serdeczne rany. Cierpienia i zawody wycisnęły silne piętno na utworach poety, ale on nie rozpacza, nie skarży się:

Nie mów, że silny, kto nić życia targa
Wprzód nim godzina wybiła!
Znać co cierpienie, a nie znać co skarga
— Oto moc ducha i siła.

A tej mocy ducha i siły nie braknie poecie. Choć czas na czoło kładł mu „lodową dłoń twardą,“ on przeciwko burzom i wichrom żywota zasłania się pancerzem wiary.

W mrokach błądzimy czując strach i żałość
Co krok — to rany i zawody świeże
Lecz, że w błękitach czeka doskonałość
Wierzę!

Tem uczuciem wiary i pogodzeniem się z losem tchnie i drugi oddział poezyj zatytułowany: Z ciężkich dni. Mimowoli czytając go przypomina się nam Jan z Czarnolesia, gdy pisał ze łzami Treny „swojej najmilszej dziewce.“ Tyle bowiem tu boleści, tyle żalu za straconem szczęściem, tyle prawdziwej poezji łzami mówiącej!

Rozpoczynający zbiór wiersz „Na przebój“ jest rodzajem wyznania wiary poety, który nie ufając „w życia pogodę i ciszę“ wierzy w „przedwieczną sprawiedliwość,“

Ktorej szalami zły los nie kołysze.
Klęska być może końcem naszych dni
Lecz gdzie cel walki i nagroda męztwa,
Palmę zwycięztwa odziedziczą ci,
Co iść umieli przez bój do zwycięztwa.

Do najpiękniejszych utworów w oddziale pierwszym (z różnych wrażeń) zaliczamy „Sosnę,“ „Ciernie kwitnące,“ „Miłość i słońce,“ „Na wiosnę,“ „Kosodrzewina,“ „Nić babiego lata,“ Dzieje serca,“ „Wierzba,“ „Siła ducha,“ „Wierzę„ itd. Pełno tu głębokich myśli, dużo prawdziwego natchnienia i serca. „Prośba niewysłuchana“ jest jakby próbą pokonania trudności formy. W tym oddziale znajdujemy także kilka dawniejszych, lekkich utworów poety, urozmaicających może swą treścią zbiorek, ale stojących pod względem artystycznym niżej wymienionych. Poecie z uśmiechem nie do twarzy. Sam to najlepiej czuje mówiąc:

Śmiać się dziś trudno z uczuciem szczerem
Szyderstwo, broń obosieczna!
Nikt nie potrafi dziś być Molierem,
A znów się pastwić nad smutnem zerem
— Czyż to wesołość serdeczna?

dok. nast.

Czeski przekład „Pana Tadeusza“ Elizy Krasnohorskiej (w Pradze 1882).

Wielkie arcydzieła poetyczne mają to do siebie, że wabiąc licznych tłumaczów są zarazem szkopułem, o który rozbija się miernota. Jeżeli nadto utwór poetyczny posiada tyle cech odrębnych, na wskroś narodowych, co „Pan Tadeusz,“ który, począwszy od inwokacji, tchnącej duchem prostej, rzekłbym naiwnej pobożności, aż do owego bezpretensjonalnego. z ludowej powiastki wziętego, zakończenia, jest zupełnie nasz, swojski; jeżeli tedy, powiadam, taki utwór ma przechodzić przez ciężką operację tłumaczenia, trudności zjawia się pełno, jak grzybów w lesie soplicowskim. A że du sublime au ridicule iln'y-a qu'un pas, więc nic dziwnego, że z wzniosłej epopei powstają takie nędzne, oburzająco śmieszne ramoty, jak np. francuski przekład p. Noir-Isle [1]). Na szczęście tego o przekładzie p. E. Krasnohorskiej powiedzieć nie można, gdyż jest on, wyjąwszy drobne szczegóły, doskonały.

[1]) Zobacz dokładną ocenę tegoż przez prof. Tarnowskiego (Przegląd polski 1876).

I to niech mi służy za wymówkę, dlaczego tak późno, bo w rok po pojawieniu się przekładu, wziąłem się do jego oceny.

Pisma nasze bowiem — mówię tu głównie o galicyjskich—albo zupełnie pominęły go milczeniem, albo zanotowały jego pojawienie się suchą bibliograficzną wzmianką. Niech mi wolno będzie przy tej sposobności zrobić przykrą uwagę, jaka się mimowoli nasuwa pod pióro. Jeźli się zważy, że z Czechami łączy nas wspólność pochodzenia, wspólność tradycyj mitycznych, wspólność historyi, a obecnie wspólność interesów politycznych, to niezrozumiałą wydaje się ta oziębłość, z jaką się u nas traktuje Czechów. Zważywszy nadto, że prawie wszystkie arcydzieła polskie zostały przełożone na język czeski, że w ogóle Czesi interesują się naszą literaturą jakby swą własną, to zdziwienie wzrasta tem bardziej, że literatura czeska nie jest znów tak małoznaczna, gdyż posiada ona prawdziwie perły we wszystkich rodzajach poezji i prozy. Ale przechodząc do rzeczy... literatura polska zwróciła już oddawna uwagę Czechów, a główną tego przyczyną były, jeźli się nie mylę, badania filologów i etnologów czeskich, które zaciekawiły ogół i zwróciły baczniejszą uwagę na wszystkie plemiona słowiańskie, odkrywając nieznane dotąd zdobycze na neutralnem polu wiedzy i sztuki. Rzucono się też niemal gorączkowo do przekładów, a literatura polska zajęła wkrótce najwybitniejsze stanowisko. Odtąd przełożono prawie wszystkie utwory Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego i słowika ukraińskiego Zaleskiego, a inni polscy poeci i powieściopisarze znani są przynajmniej w swoich najwybitniejszych dziełach. A cóż mówić o nowszych autorach. Ledwie u nas się pokaże jakiś nowy utwór którego z koryfeuszów dzisiejszej poezji, już jest on i na pułkach księgarskich w Pradze, nie zalegając nigdy długiego czasu. Bo też tłumaczami są wybitne w czeskiej literaturze osobistości ks. kan. Sztulca, p. Krasnohorska, F. Krapil R. Pokorny, O. Mokry i do sześćdziesięciu innych minorum gentium. Najtrudniejsze pewnie zadanie miała p. Krasnohorska. Tłumaczyć „Pana Tadeusza," na to trzeba niepospolitej odwagi i jeszcze większego talentu. Wzięła się też pani Krasnohorska do tłumaczenia z całą świadomością. Dała się ona już poprzednio poznać z licznych utworów poetycznych, z których niektóre, zwłaszcza liryczne [2]) zyskały sobie zasłużone uznanie. Dla wprawienia się w giętkość i śpiewność języka pisała libretta do oper Fr. Smetany, Bendla i Fibicha, przy tłumaczeniu samem, zasięgała informacyj: co do realiów od ks. Sztulca i w. i. a co do objaśnienia polskich wyrazów od p. E. Orzeszkowej, p. W. Lecha i. w. i. Wiedziała p. Krasnohorska dobrze, że warunkiem dobrego tłumaczenia, zwłaszcza większych utworów, jest wierność i poetyczność. Szanowny czytelnik daruje, że dla zrozumienia tego zrobię małą dygressję. Tłumaczów Homera od pierwszego przekładu Kochanowskiego, aż do ostatniego Popiela, mamy dużo. Ale czyż, nie mówię wszyscy, ale choć maleńka ich cząstka uczyniła zadość wymaganiom sztuki? Mamy, albo ściśle wprawdzie, ale suche, odarte z wszelkiej poetycznej szaty przekłady, jak Bronikowskiego i Popiela, które są dobrym materjałem dla filologów, ale nie arcydziełem poezji, albo też mamy cacko poetyczne, jak przekład Odyssei, Siemieńskiego, lub wyjątki Słowackiego, pozbawione znów wszelkiej ścisłości i cechy homerycznej. Tłumaczenie nie jest zabawką pour passer le temps, ale rzeczą nadzwyczaj poważną. Otóż z takiemi zasobami, a całą świadomością trudności, jakie ją będą czekały, zabrała się p. Krasnohorska do tłumaczenia „Pana Tadeusza." Pojedyńcze jego ustępy pojawiały się w czasopismach: „Lumir" i „Osveta" a w r. 1882 wyszedł cały przekład w bibliotece obcych utworów p. t. „Svetova poesie." Tłumaczenie obejmuje prócz samego „Pana Tadeusza," ustęp: „O czem tu dumać etc." i przypiski. Weźmy dla przykładu sam wstęp, gdyż pokaże on nam, jak sumiennie i ściśle przekład jest dokonany,

Litvo, má domowino! Tys jak zdraví drahá!
Vždyt' pozná, jak te cenit', zví, co tobe blaha,
Jen kdo te ztratil! — Dnes tvou krásu v plném lesku
Zřím, opevam zde v dali, po tobe plu stesku [3])

W oryginale zaś brzmi to:

Litwo ojczyzno moja! ty jesteś jak zdrowie;
Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie,
Kto cię straci. Dziś piękność twą w całej ozdobie
Widzę i opisuję, bo tęsknię po tobie.

Zrozumiawszy przekład, przyznać trzeba, że wierniej już niepodobna było tego przełożyć. W pierwszej księdze najlepiej wypadł ustęp końcowy, opisujący sceneryą Europy, zwycięztwa Napoleona i usposobienie Litwinów. Zdanie, choć powszechnie znane, niemniej jednak nie starzejące się, że poetę może tłumaczyć tylko poeta, ma tu w całej prawdziwości swe zastosowanie. Ustępy najwybitniejsze, jak: koncert Wojskiego, bitwa, spowiedź Jacka, serwis, polonez i koncert, nad koncertami wypadły jak najlepiej Nietylko bowiem pod względem wierności każdy prawie wyraz oddany, ale co więcej, ogólny koloryt jest tak wierny, że nie znajdzie się nigdzie żadnej fałszywej nuty, żadnego zboczenia.

Jednak znajdują się tu też i słabe strony. Język czeski ma tę właściwość, że spółgłoski płynne są w czeskim języku właściwie półgłoskami, to jest: zajmują środek między spółgłoskami, a samogłoskami. Dla przykładu przytaczam np. wyraz: smekl=padł i rymujący z nim wyraz: neodsekl= nie odpowiedział (ks. I.). Otóż wyraz smekl można czytać jako jednozgłoskowy, albo jako dwuzgłoskowy (smek(e)l). Wierzę, że to jest bardzo dogodne, ale wprowadza w rytmikę bałamuctwo, bo jeźli się w wierszu trafi więcej takich licencyj, wiersz wychodzi kulawy i szorstki. Tembardziej nie wolno, zwłaszcza w „Panu Tadeuszu," jako poezji epicznej, wprowadzać rymów męzkich, zamiast żeńskich, gdyż to przerywa tok epiczny, nadając wierszowi jakąś zbyt energiczną, tym razem niepotrzebną cechę. Jedną z ważniejszych zewnętrznych cech epicznych jest też bez wątpienia owo stereotypowe powtarzanie się pewnych wyrażeń. Tłumaczowi nie wolno ani na jotę nic w nich zmieniać, gdyż przez to traci się charakter oryginału. P. Krasnohorska, starała się być pod tym względem konsekwentną, jednak nie wszędzie. Znane komiczne powtarzania się Telimeny o *Peterburku* i planach w *biórku* spotęgowane jest w swoim efekcie koniecznym właśnie przez to, że wyrazy wymienione, stając zawsze na końcu, rymuję się z sobą. W tłumaczeniu p. K. panuje natomiast dowolność, która osłabia efekt komiczny.

Oto są wszystkie wady, które na razie potrafiłem zebrać. Zresztą znajdujemy w tłomaczeniu łudzące podobieństwo z oryginałem. Wprawdzie w tłomaczeniu musiała p. K. użyć nie mało nowotworów czeskich, ale to już należy do sprawozdawcy czeskiego, nie polskiego. Całość robi bardzo przyjemne wrażenie i sumiennie mogę zaświadczyć, że między tłumaczeniami z wszelkich europejskich języków, które znam, kładę przekład p. K. na jednem z pierwszych miejsc. Prawda, że p. K. miała to ułatwienie, iż tłumaczyła z jednego słowianskiego języka na drugi, więc mogła nieraz całe ustępy wprost tłumaczyć, nie wysilając się nad rymem i oddaniem myśli; jednak mimo to wszystko przekład wymagał olbrzymiego zamiłowania w przedmiocie, znajomości filologicznej w obu językach, wielkiej wolności poetycznej i sumienej pracy. A wszystkim tym warunkom p. K. w zupełności zadość uczyniła.

S. F. Kraszewski.

---

[2]) Z maje ziti, Praga 1874 2-gie wydanie. Z Szumawy 2 wyd. 1872 Kslovanskému jihu 1880 r. itp.

[3]) Dla zrozumienia podaję, że e czyta się jak *je*, r jak *rz*, z jak *z*, t' *tj*, s jak *sz*, a c jak *cz*.

PRZEGLĄD ARTYSTYCZNY.

Ruch muzyczny.

Operetka lwowska.

Stary, poważny gród Krakowa był przez całe 6 tygodni rozoperetkowany — oto jedyna nowina podczas sezonu martwego z dziedziny tonów. Na każdym kroku słyszeć można było i dziś jeszcze słychać melodje operetkowe gwizdane, śpiewane i grane tak przez płeć brzydką jak i piękną połowę rodu ludzkiego.

Teatr bywał co dzień przepełniony, a publiczność krakowska zadowolenie swe i swą sympatję artystom lwowskim na każdym kroku okazywała.

Z nowości wystawiło Towarzystwo lwowskie oprócz wspomnianego w poprzednim numerze „Przeglądu" *„Karnawału w Rzymie"* jeszcze *„Gaskończyka"* i *„Podróż do Afryki"*; muzykę do obu tych utworów napisał Souppé. „Gaskończyk," który mówiąc nawiasem grany był 4 razy z rzędu przy zapełnionej szczelnie sali, całym swym zakrojem więcej na operę komiczną jak na operetkę wygląda. Poważne libretto tej sztuki wzięte jest z dzieła Dumasa. p. t. „Le monte du diable" i traktuje ustęp z historji angielskiej za panowania Jakuba II. Krótka treść „Gaskończyka" jest następująca:

James ks. Monmouth, naczelnik przeciwników Jakuba II. przymuszony opuścić kraj, uszedł wraz z małżonką swą Mary na francuzką kolonję Martynikę i tam zamieszkał w czartowskim zamku. Rzeczywiście czuł się tu bezpiecznym, gdyż nikt nie śmiał się zbliżyć do tego zaklętego zameczyska, aż właśnie przybyły Gaskończyk Polifemiusz de Croustillac postanawia iść do mniemanej wdowy Mary, by posiąść jej rękę i majątek.

Dostawszy się do zamku, mimo próźb powabnej Cascarity, która go pokochała — daje tam próby swego nieustraszonego męztwa. Wzięty później za ks. Montmouth dostaje się w ręce Anglików, uwolniony nareszcie otrzymuje w nagrodę za poświęcenie się za księcia, za którego dał się uwięzić w darze ów zaklęty zamek i poślubia piękną Cascaritę. Księciu Monmouth ofiaruje poseł francuski dowództwo i bezpieczne schronienie we Francji,

dokąd też książe wraz z małżonką swą udaje się. W sztuce tej niema ani cynizmu lubieżnej Grande Duchesse, ani rytmu kankana. W muzyce tej widzimy już dążność do prawdziwej opery komicznej, uświetnionej tylu słynnemi nazwiskami jak: Auber, Boiledieu, Herold, Halévy, Mayerbeer i Rossini. Wprawdzie znajdujemy tu reminiscencje z innych dzieł, a czasami zaleci ucho kilka taktów z „Ernaniego“ lub „Cyrulika sewilskiego“ ¡i tp. lecz są to tylko przemijające wrażenia; za to znajdujemy tu ustępy wspaniałe jak np. prawdziwie operowy finał aktu trzeciego lub chóry w akcie drugim.

Oprócz wyżej wspomnianych ustępów podnieść jeszcze musimy w akcie drugim wstępny chór prządek, piosnkę szkocką Mulata i chór żałobny za sceną śpiewany. W akcie trzecim podobał się duet Gaskończyka i księcia i wzorowo opracowane finale w akcie czwartym -- oryginalny chór niewolnic. Pani Kasprowicz zastępowała w roli Mary chorą p. Skalską i za śpiew swój zasłużone zyskała oklaski. Pani Bocskaj bardzo inteligentnie odtworzyła sympatyczną postać Cascarity i wlała w swoją kreację wiele dziewiczego wdzięku. Główną rolę grał i śpiewał p. Bandrowski z wielkiem powodzeniem. Ładnie śpiewał p. Alma, a szczególniej w duetach zbierał oklaski. P. Skalski grał jak zwykle z humorem i dowcipne śpiewał kuplety. Trudne w tej partycji chóry poszły bez zarzutu. Instrumentacja tej sztuki jest pyszna i wytworna.

Na zakończenie odegrało lwowskie Towarzystwo „Podróż do Afryki“ operetkę w 3ch aktach, przekład Aurelego Urbańskiego z muzyką F. Soupp'ego. W sztuce tej, niegranej dotąd we Lwowie — wystąpiła po dłuższej chorobie p. Skalska w roli Tytanji Fanfani i za swój sympatyczny śpiew zbierała ciągłe dowody uznania ze strony publiczności. Treść tej pełnej humoru i zabawy operetki jest następująca:

Fanfani pasza, człowiek chciwy, ma w depozycie dwumiljonowy spadek dla siostrzenicy swej Tytanii w Neapolu zamieszkałej; obowiązany jest jednakowoż tylko w tym wypadku spadek ten wypłacić, jeżeli Tytania przed ukończeniem 19 roku życia za mąż wyjdzie. Na dzień przed upływem terminu zjawia się Tytania w Kairze bez małżonka wprawdzie, lecz zastaje tu dawnego znajomego z Włoch Miradilla, który podejmuje się z chęcią roli męża, aby skąpego wujaszka wyprowadzić w pole. Miradillo jest to człowiek lekkomyślny, który narobiwszy długów w Europie przybywa do Afryki szukać szczęścia. W ślad za nim jednakowoż przybywa kochanka jego Tessa, modystka z Palermo, wraz z matką i obie szukają ptaszka. Miradillo nie poznaje zawualowanej Tessy i śmiało gra rolę męża Tytanii, na czem tyle przynajmniej zyskuje, iż mniemana małżonka płaci za niego długi hotelowe. Tessa widząc, że to intryga, uknuta na kieszeń paszy, bierze to małżeńswo na serjo, a rozczulona i oburzona na wiarołomnego kochanka, decyduje się na usilne naleganie paszy zamieszkać w jego willi a może i wstąpić do jego haremu. Tymczasem Tytania robi znajomość z księciem Maronitów Antarzitem, odpowiada na jego miłość wzajemnością i postanawia umknąć z nim, by tym razem już na serjo wejść w związki małżeńskie i tem samem owe dwa miljonki od wujaszka odebrać. Miradillo poznawszy Tessę i chcąc przeszkodzić wstąpienia jej do haremu, wymaga na księciu Antarzidzie, by ją porwał i uprowadził z Kairu, również i pasza udaje się do księcia z podobną proźbą, by porwał mniemanego małżonka Tytanii, a tem samem uwolnił go od obowiązku wypłaty owych dwu miljonów. W ten sposób odjeżdżają na jednym statku Tytania i Antarzid, jakoteż Tessa i Miradillo porwani przez żołnierzy Antarzida. Pasza jednak po uszy zakochany w Tessie, dobrawszy sobie do pomocy beduinów dopędza zbiegów; skutkiem atoli porozumienia się obu zakochanych par, Antarzid zyskuje na czasie i bierze w pobliskiej kaplicy ślub z Tytanią. Miradillo pojednywa się z Tessą, a Fanfaniemu paszy pozostaje w udziale stara matka Tessy i wypłata nowożeńcom dwu miljonów.

Muzyka tej operetki wesoła, skoczna; są tu walczyki, polki, marsze, ładne duety i pełne humoru kuplety. W pierwszym akcie weszły tercet kończący się walcem odśpiewany z werwą przez panie Bocskaj (Tessa) i Kasprowicz (matka) i p. Fontanę (pasza). Wezwanie do modlitwy muezzina i oryginalny kwartet odśpiewany przez p. Skalską i pp. Bandrowskiego, Fontanę i Fedyczkowskiego.

W akcie drugim podobał się ogólnie duet Tytanii z księciem (p. Skalska i p. Alma) w wschodniej mowie kwiatów, jakoteż duet Miradilla z Tytanią: „Żonciu ten kiosk jest naszym rajem.“ Naśladowanie w orkiestrze wezbrania Nilu jest mistrzowsko przeprowadzone, a finał tego aktu również na wzmiankę zasługuje. W akcie trzecim serenada księcia z chórem i marsz.

Główną rolę grał p. Fontana i wywiązał się z niej tak, jakeśmy po tym inteligentnym artyście się spodziewali, to jest bardzo dobrze. Dopomagali mu dzielnie pp. Bandrowski i Alma. Z pań bohaterką wieczoru pyła p. Skalska, która cieszy się u nas wielką sympatją jak również i p. Bocskaj. Tak rola p. Kasprowicz jakoteż i inne pomniejsze role wypadły dobrze. W ogóle zauważyliśmy, iż reżyserja dawała szczególną baczność na dobrze obmyślane mise-en-scene, a chóry i orkiestra prowadzone wprawną ręką dzielnie się trzymały i przez to przyczyniały się do dobrej całości.

Na zakończenie dziękujemy dyrekcji za tak mile spędzony czas ogórkowy i prosimy, by na rok przyszły przybyła do nas nietylko z operetką ale i z operą, aby Krakowianie mieli sposobność usłyszenia narodowej opery, poznali „Konrada Walenroda“ Żeleńskiego, „Mindowe“ Jareckiego, dzieła Moniuszki i innych mistrzów. Nie żegnamy więc miłych lwowskich gości, lecz wołamy tylko: **do widzenia!**.

Maurycy Sieber.

ROZMAITOŚCI.

I.

Fajka króla Jana.

Ponieważ w jednem z pism wspomniano niedawno o fajce Jana III., podajemy przeto wyjątek z listu bratanka jenerała Dąbrowskiego, pisanego w r. 1851: „Znam jej (fajki) historją od naocznego świadka, to jest od mojego stryja, którego francuzi przezwali *General Henri*, a który odbywając wszelkie kampanje cesarza Napoleona pod orłami francuzkiemi, był towarzyszem broni marszałka Oudinota i zostawał z nim w przyjacielskich stosunkach.

„Po zwycięztwie Jana III. odniesionem nad Turkami w roku 1683 dnia 12 września pod Wiedniem, który w chwili poddania się oblegającym, uratowany został jedynie odwagą wojska polskiego i króla Jana III., gdy ten mając tylko 84.000 żołnierza, w liczbie których 26.600 polskiego rycerstwa. walczył przeciwko sile 216.000 Turków, a zadając onym klęskę okrutną wziął cały obóz turecki i namioty ze wszelkiemi bogactwy wschodniemi Kara — Mustafy, dowódcy wojska oblegającego.

„Po tak świetnem zwycięztwie wiedeńczycy żądali widzieć w murach swoich wybawiciela, jakoż mężny komendant miasta hrabia Ernest Rydygier Stahremberg udał się do obozu królewskiego w tym celu. Król Jan III. dogadzając mieszkańcom i chcąc złożyć dziękczynne modły, przybył do Wiednia ze swojem rycerstwem i w kościele katedralnym św. Stefana po odbytem nabożeństwie, zaintonował sam „Te Deum“ a 300 wystrzałów z dział obozowych i miejskich obwieściły tę uroczystość, poczem zaproproszony został do komendanta na obiad.

Przy obiedzie król był bardzo wesół; znajdowali się na nim: Lubomirski, Jabłonowski, Sieniawski, Rzewuski, Denhoff itd. a także naczelnicy wojsk obcych. Mówił o wielu zaletach wojsk sprzymierzonych, o księciu Lotaryńskim, którego wraz z komendantem uważał za prawdziwych wybawicieli Wiednia. Wszakże takową biesiadę przerwał dany znak trwogi; a więc król polski opuścił dom komendanta w celu przekonania się w obozie, ażali trwoga nie była skutkiem napadu tureckiego; wszelako takowy nie nastąpił, a trwoga była wypadkową.

„Jan III. miał zwyczaj palenia dużo tytoniu, i w czasie bitw zawsze mu podawano fajkę. Że i dworzanie królewscy byli ugaszczani w domu komendanta, więc spiesznie odjeżdżającemu Janowi III. nie podano fajki i takowej dworzanin udający się za królem zapomniał u komendanta.

„Gdy się przekonano, że trwoga nie była spowodowaną przez Turków, hrabia Stahremberg odwiózł do namiotu królewskiego zapomnianą fajkę, a gdy król dowiedział się o tem, rzekł do komendanta: „Ponieważ w obozie Kara-Mustafy znalazłem dużą fajkę, a Turcy nie wracają się, aby mi onę odebrali, jak to sądziliśmy u obiadu, przeto ofiaruję waszmości zapomnianą fajkę na pamiątkę gościnnego przyjęcia, tak mnie jak i moich dworzan.“ Takim przeto sposobem owa fajka została u komendanta Wiednia, którą później tenże złożył w magistracie.

„Kiedy po uporczywych bitwach w roku 1809 pod Aspern, wyspą Lobau, Wagram opierający się arcyksiąże Karol, jeden z pierwszych jenerałów europejskich uległ szczęściu cesarza Napoleona, i gdy wojska francuskie zajęły stolicę państwa austrjackiego, mianowany na placu bitwy pod Wiedniem, komenderujący grenadjerami generał Oudinot wraz z Davoustem i Macdonaldem marszałkiem państwa, naznaczony teraz był razem komendantem nowo zajętej stolicy.

„Słodki charakter tego jenerała, sprawiedliwość w wypełnianiu trudnego obowiązku komendanta miasta zwyciężonego, zje-

dnały szacumek wiedeńczyków zawsze gotowych do wdzięczności za najmniejszą nawet przysługę, do przychylności dla marszałka Oudinota, a kiedy po zawartym traktacie Preszburgskim w r. 1809, wojska francuskie opuściły Wiedeń, mieszkańcy onego znając upodobanie jenerała do zbierania różnego rodzaju fajek, ofiarowali mu między innemi upominkami i fajkę króla Jana III. Tym sposobem przeniosła się ona od Dunaju na brzegi Sekwany.

„Jenerał Oudinot zawsze powtarzał, że niema droższego nad ten upominek. Teraz, (1851) jeden z zacnych wiedeńczyków, nabywa tę fajkę od spadkobierców, dla złożenia jej napowrót w magistracie wiedeńskim.“

II.

Biskup Puy, brat margrabiego de Bethune, szwagra „Marysieńki“ taki epigramat napisał po zwycięztwie wiedeńskiem:

Dignior Imperio num ne Austrius? an ne Polonus?
Odrysias acies his fugat, ille fugit.

co współczesny francuz przetłomaczył:

Quel est plus digne de l'Empire
Du Polonais ou de l'Autrichien?
Le recit pourra t'en instruire
L'an l'abandonne et l'autre le sontient.

III.

Nodot, francuski tłomacz Petroniusza, następujący po odsieczy Wiednia napisał sonet:

L'Empire gemissait sous de cruels efforts.
Le Croissant triomphait del'Aigie vagabonde,
Le Danube effraie se cachait sous ses bords.
Le feu ravageait tout, le sang rougissait l'onde.

Les Césars fugitifs emportaient leurs tresors
Et le fier Ottoman, comme eu foudre qni gronde
Menacait de couvrir la compagne de morts.
Lort qu'un Roi généreux partit du bout du monde.

Le Monarque chargé duscrt de l'Univers
Tait palir le Croissant par un fameux revers,
Tout cede a sa valeur, tout cede a sa victoire.

Princes qu'il sauvez, rangez vous sous sesloix
On ne peut trop payer le plus grand des exploits
Et l'Empire qu'il vangest tropepeu pour sa gloire.

Wiersz ten w wolnym przekładzie brzmi:

Już zadrżały z przestrachu Germanów narody,
Dumny księżyc już wszędzie zagrażał zniszczeniem,
Już Dunaj przerażony wstecz cofnął swe wody,
Tlały ognie, krew zewsząd płynęła strumieniem,

Już pohaniec jak piorun, który gromy ciska
Zagroził w gniewie — trupem zawalić kraj cały,
Już władcy opuszczają ojczyste siedliska,
Gdy z dalekich stron przybył monarcha wspaniały.

On tu się opiekował Chrześcjańskim światem.
Zadrżał zuchwały księżyc przed jego bułatem
Uległ jego zwycięztwu pohaniec nieprawy.

Władcy których wybawił, złóżcie mu hołd winny,
Przechodzi wdzięczność czyn tak wielki, dobroczynny,
I Wasze kraje, niczem są dla jego chwały.

IV.

Anagramma włoskie.

Giovanni Sobieschi Re di Polonia
Glorioso in pochi di libera a Vienna.

Jan Sobieski, król Polski
Sławą okryty przez oswobodzenie Wiednia.

DROBNE WIADOMOŚCI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE

Literackie i naukowe.

— P. *Jarosz Derdowski*, autor historji „O Panu Czorlińscim“ wydał obecnie również w narzeczu kaszubskiem broszurkę p. t. „Kaszuba pod Widnem.“

— *Macierz Polska* wydała w dalszym ciągu tomik 8 „Dobry syn,“ bajka przez Wł. Bełzę, i tomik V. 9. „Jak z sobą żyją źli małżonkowie a jak dobrzy żyć powinni?“ opowiedział ks. St. Mazurek.

— Fragment manuskryptu Starego Testamentu złożony w Britisch Muzeum przez E. Schapirę uznali znawcy za podrobiony. Można się było tego spodziewać. ..

— „Kilka myśli o Panu Tadeuszu“ umieścił p. Adam Bełcikowski w Kurjerze warszawskim.

—„Dzieła *Szujskiego* mające się ukazać w zbiorowem wydaniu uporządkowali wydawcy w trzy działy: literacki, historyczno-naukowy i polityczny.

— P. *Gabryela Śnieżko Zapolska*, hołdująca dosyć skrajnemu realizmowi w obrazku p. t. „Małaszka“, oddała dyrekcji teatru lwowskiego dwie komedyjki jednoaktowe.

— P. *Dziewiński*, tłómacz Wallenroda na język angielski, przełożył również „Starą Baśń“ Kraszewskiego.

— *Kraszewski* nie spoczywał i w więzieniu, ale przełożył z łacińskiego komedje Plauta jednego z najlepszych rzymskich komedjopisarzy doby starszej.

— Pod tytułem „Shakespeariana“ wychodzić będzie w Nowym Yorku dwutygodnik poświęcony wyłącznie tekstom Szekspira i ich przekładom. Dział polskich tłumaczeń obrabiać będzie panna Bigs i p. Paweł Sobolewski.

— „Przegląd akademicki“ przestał wychodzić.

— Dwaj nauczyciele szkół krakowskich pp. M. Schlesinger i S. Spitzer wydali po polsku broszurkę p. t. Krótki rys historji Izraelitów od czasu zburzenia drugiej świątyni do czasów najnowszych.

— P. *Józef Doliwa Głębocki* wydaje dzieło p. t. „O wojenności w ogóle, mianowicie Polskiej tudzież Szachownica wojenna polska tak północna jak i południowa, jak ją przedstawił Sarmaticus w dziele w dwóch zeszytach w Hanowerze w roku 1830 wydanem.“

— Szkice *H. Spencera* t. I. w powtórnej polskiej edycji (wydawnictwo Jeża) mają się wkrótce ukazać w handlu księgarskim. Tom drugi ukaże się jeszcze w bieżącym roku.

— *M. Bałuckiego* „Dom otwarty“ ukazał się w osobnej książce nakładem H. Altenberga we Lwowie.

— Dr. *Jan Leniek* wydał w Krakowie „Sobiesciana z archiwum hr. Przeździeckich w Warszawie.“

— *Ign. Krasickiego* Komedje wyszły razem w nowem wydaniu księgurni K. Bartoszewicza.

— „Przedświt“ dwutygodnik literacki wychodzący w Czerniowcach przeniósł się do Lwowa a natomiast powstał w Czerniowcach „Przegląd Czerniowiecki“ i „Gazeta Czerniowiecka“ wychodzące naprzemian co tydzień. Skład główny w kięgarni K. Bartoszewicza.

— *Kazimierz Zalewski* napisał dwie nowe komedje: „Górą nasi“ i „Na prowincji.“

† *Stanisławski Antoni*, znakomity tłumacz Dantego b. prof. uniwersytetu w Charkowie zmarł w Białej Cerkwi.

— *Teofila Smolińska*, polka-amerykanka, autorka „Trzech Flor“ wydała tom swoich poezyj.

— P. *Marjan Gawalewicz* napisał humoreskę p. t, „Gęsi.“

— Nowelle *Bałuckiego* mają wyjść w jednym zbiorze w Warszawie.

† *Iwan Turgeniew*, znakomity powieściopisarz rossyjski umarł w Paryżu 6 Września.

Z dziedziny malarstwa, muzyki, rzeźby, teatru i architektury.

— P. *Wł. Żeleński* wydał dwie pieśni „Na śnieżnym krzaczku choiny“ „Robaczek kochał się w róży“ do słów autorki „Iwara.“

— *Rubinstein* skomponował etiudę dla wirtuoza d'Alberta, którego grą się zachwyca.

— *„Sobieski pod Wiedniem“* Matejki wystawiony przez pięć dni w sali Sukiennic odesłany już został do Wiednia. Specjalny sprawozdawca artystyczny przyrzekł nam wyczerpujący artykuł do przyszłego numeru.

† *August Henryk Riedel* nestor malarzy niemieckich pracujących na tle rzymskiem, zmarł w Rzymie w wieku lat 84.

— Katalog wystawy monachijskiej wyszedł z illustracjami.

— W Kopenhadze otwarto w Lipcu wystawę skandynawskich artystów. Katalog zawiera 750 numerów. Szwecja dostarczyła dzieł sztuki 152, Norwegja 89, Finlandja 78 — resztę Danja.

— Do berlińskiej akademji sztuk pięknych uczęszczało w zeszłym półroczu zimowem 264 uczniów, w letniem 250.

— Słynny bogacz amerykański *Vandevbilt* zakupił galerję obrazów olejnych Filipa Milesa w Leigh Conot za przeszło 4 miljony guldenów. W galerji tej znajdują się obrazy Murilla, Claude-Lorraina, Rubensa itd.

— Album „Koła literacko-artystycznego“ na uczczenie obchodu odsieczy Wiednia wyjdzie w tych dniach i pomieści rysunki: Brandta, Kossaka, Ajdukiewicza, Benedyktowicza, Abramowicza, Piwnickiego, Maleckiego, Brochockiego, W. Kossaka, Styki, Piccarda, Rybkowskiego itd. Skład główny w Księgarni K. Bartoszewicza. Ze ślicznego tego albumu dajemy dziś jedną kartę: rysunek W. Kossaka.

— Piękna chromolitografja wydana na pamiątkę jubileuszu Sobieskiego przez Tow. wzaj. pomocy artystów, o której wspominamy w „Echach“ jest do nabycia po cenie 2 złr. w księgarni K. Bartoszewicza.

OGÓLNY ZARYS PROGRAMU
PIERWSZEGO ZJAZDU LITERATÓW I ARTYSTÓW POLSKICH
W KRAKOWIE
w dniach 14 i 15 Września 1883.

Dnia 13 Września wieczorem poznanie się członków zjazdu w lokalu „Koła artystyczno-literackiego." Lokal otwarty będzie od godz. 9-tej.

Dnia 14 Września o godz. 10-tej rano po mszy odprawionej przez X. kan. Polkowskiego w kościółku św. Wojciecha pierwsze posiedzenie zjazdu w sali rady miejskiej. Zagajenie, wybór przewodniczących i sekretarzy.

O godz. 3ciej drugie posiedzenie.

O godz. 7mej przedstawienie teatralne w połączeuiu z koncertem.

Dnia 15 Września o godz. 10-tej trzecie i ostatnie posiedzenie zjazdu.

O godz. 4-tej uczta w sali Towarzystwa strzeleckiego.

O godz. 9-tej bal w sali hotelu Saskiego.

Dnia 16 Września o godz. 1-szej wycieczka przez Bielany do Tyńca. Powrót Wisłą galarami.

Cena biletu udziałowego „Zjazdu" 4 złr. Bilet ten daje prawo bezpłatnego udziału w wycieczce. Cena biletu na wycieczkę dla nieczłonków 5 złr.

Cena miejsc w teatrze dla członków zjazdu zwyczajna— dla niecz łonków podwyższona. Zwyżka obróci się na dochód Towarzystwa pomocy wdowom i sierótom po literatach i artystach.

Cena biletu na ucztę dla członkow zjazdu 5 złr. 50 ct., dla niecz łonków 10 złr., biletu pojedyńczego dla członków 2 złr., dla niecz łouków 4 złr. Dochód z balu na fundusz wdów i sierot po literatach i artystach.

Zgłoszenia do udziału w zjeździe przyjmuje komitet gospodarczy do dnia 12-go Września.

Z KOMITETU GOSPODARCZEGO

I-go ZJAZDU LITERATÓW I ARTYSTÓW POLSKICH

Sekretarz *K. Bartoszewicz.*

Prezes *Juljusz Kossak.*

Program obrad zmienia się jeszcze stosownie do okoliczności. Pewne są następujące referaty i odczyty:

Dra J. Rosenblatta: O własności literackiej i artystycznej.

P. Lud. Benedyktowicza: O ogólnych perjodycznych wystawach dzieł sztuki polskiej.

Dra Alfonsa Parczewskiego: a) O literackiej wzajemności z Słowakami i Serbami naddunajskimi.

b) o potrzebie scentralizowania handlu księgarskiego rzeczami słowiańskiemi.

X. kan. Polkowskiego: O nieznanym utworze Jana Kochanowskiego.

P. K. Bartoszewicza: a) O założeniu Towarzystwa literatów i artystów polskich dla przychodzenia w pomoc członkom dotkniętym ciężką chorobą, oraz wdowom i dzieciom po członkach pozostałym.

b) Wniosek założenia pisma informacyjnego artystyczno-literackiego.

Bilety udziałowe, na bal, na przedstawienie, na wycieczkę nabywać można codziennie w lokalu „Koła" między godz. 5-tą a 8-mą wieczorem.

Udział w zjeździe będzie prawdopodobnie bardzo liczny, mimo utrudnień stawianych przez rząd rossyjski. Przychodzą zamówienia z Florencji, Petersburga itd.

PROJEKT REGULAMINU OBRAD ZJAZDU.

1. Obradami kieruje przewodniczący, rozdając głosy według zgłaszania się mówców do sekretarza.
2. W jednej sprawie wolno zabierać głos tylko dwa razy. Trzeci raz jedynie za pozwoleniem całego zgromadzenia.
3. Przemówienie nie może trwać więcej nad 10 minut.
4. Wnioskodawcy i referenci mają w razie życzenia głos ostatni.
5. Uchwały zapadają większością głosów — w razie równości głosów rozstrzyga przewodniczący.
6. Każdy wniosek samodzielny wtedy zostanie postawiony na porządku dziennym obrad zjazdu, jeżeli znajdzie poparcie przynajmniej 15-stu członków.
7. Wnioski uznane przez większość zgromadzenia za naglące natychmiast pod obrady oddane zostaną.
8. Głosowanie odbywa się jawnie przez podniesienie rąk. Tajne za pomocą kartek może odbyć się jedynie na żądanie większości.
9. Do skrutynium przy wyborach i głosowaniu powołani będą wyznaczeni przez przewodniczącego trzej skrutatorowie.
10. Wniosek o zamknięcie dyskussji oddanym będzie pod głosowanie zaraz po jego postawieniu.
11. Po zamknięciu dyskussji mają prawo mówić tylko zapisani do głosu, wnioskodawcy i referenci.
12. Przewodniczącemu służy prawo zabierania głosu zawsze, ile razy według jego zdania tok dyskussji wymagać tego będzie.

Panna *Józefina Reszkówna*, europejskiej sławy śpiewaczka, obiecała w nadesłanym liście przyjąć udział w przedstawieniu teatralnem.

Teofil Lenartowicz napisał serdeczny list do komitetu zjazdu, wyrażając żal, iż osobiście uczestniczyć w nim nie może.

Do tego Nru dołącza się rysunek L. Benedyktowicza: Turek i rysunek W. Kossaka z Albumu Koła artystyczno-literackiego.



Turek
rysunek L. Benedyktowicza.


1883